

MAGAZYN *razem z dodatkami*

Pokolenie X. Twardziele, o których trochę zapomniał świat

● Margrabi Wielopolski w Staatliche Museen w Berlinie ● Sądy otwarte na świat raz w roku. A na co dzień?

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV



GŁOS DZIENNIK POMORZA KOSZALIŃSKI

Piątek
5.06.2026

Nr 128 (5886)
Nakład: 9.390 egz.

www.gk24.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

W Koszalinie wszyscy czekali na Lecha Wałęsę



Lech Wałęsa był w środę postacią kluczową festiwalu „Fale Historii Fale Wolności” organizowanego już po raz drugi w Koszalinie. **str. 3**

Kraj. Szykuje się kolejne weto prezydenta Karola Nawrockiego. Chodzi o status osoby najbliższej **str. 7**

Świat. Drastyczne skutki ataków rekina. Dwójka nastolatków straciła nogi. Ich stan jest bardzo ciężki **str. 8**

Po sukcesie pierwszego challenge Łatwoganga na rzecz dzieci chorych onkologicznie, wielu ludzi zaczęło zgłaszać się do Piotrka Hanckego o pomoc **TYGODNIK REGIONÓW – STR. 13**

W Głębinowie pod Nysą dzieje się coś, co sprawia, że spokojna wieś zmienia się w oblegane miejsce **TYGODNIK REGIONÓW – STR. 14**

Interwencja. Płot oddzielający promenadę od wydm w Unieściu będzie naprawiony **str. 4**

Region. Brązowy grot i szpila z Puszczy Bukowej mogą mieć nawet 3000 lat **str. 3**

Region. Rowerem z Mielna do Wisły i z powrotem dla syna trochę później. Start we wrześniu **str. 4**

Nr ISSN 1231-8124

Nr indeksu 348-570



Pasje. Duży Fiat, Syrena, SHL, WSK. U pana Grzegorza do wyboru, do koloru

TYGODNIK REGIONÓW – STR. 11-11



Kościół. Czy można w katolickiej świątyni zobaczyć Marcina Lutra, twórcę reformacji? Można. W koszalińskiej katedrze.

TYGODNIK REGIONÓW – STR. 12

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Edyt Bartosiewicz. Pierwszy sukces to album „Sen”	PONIEDZIAŁEK ● Sportowy24: Grali na boiskach, grali na parkietach	WTOREK ● Strefa Biznesu: W gąszczu ekonomii nie zginięsz	ŚRODA ● Strona Zdrowia: Przygotowania do oddania krwi	CZWARTEK ● Pod Paragrafem: Marszałkowie Stalina	PIĄTEK ● Puls i Tygodnik Regionów. Teksty ze znakiem jakości
--	---	--	---	---	--

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

Współczesny rodzic żyje pod gigantyczną presją

Mira Suchodolska (PAP)
Rozmowa

z prof. dr hab. Katarzyną Schier, psychoterapeutką, członkinią Trauma Lab UW

Kiedy kobieta dowiaduje się, że zostanie matką, bardzo często obiecuje sobie jedno: „ja będę inna niż moja mama”. Tymczasem po latach okazuje się, że nawet jeśli nie jesteśmy kopią swoich matek jeden do jednego, to przejmujemy ich zachowania, lęki, sposób mówienia, a nawet wady. Jak to się dzieje?

To jest jedno z najważniejszych pytań dotyczących relacji między pokoleniami. Bardzo dużo mówi się dziś o traumie transgeneracyjnej, czyli o tym, że trudne doświadczenia przechodzą z pokolenia na pokolenie. Rzadziej mówi się o tym, że dokładnie tym samym kanałem przekazujemy sobie codzienne zachowania, sposoby reagowania, wzory miłości, opieki czy radzenia sobie ze stresem. Oczywiście znaczenie mają geny i biologia, ale ogromną rolę odgrywa też przywiązanie. Dziecko od pierwszych chwil życia uczy się świata przez kontakt z matką. Uczy się, czy świat jest bezpieczny, czy trzeba się bać, czy emocje wolno pokazywać, czy trzeba je tłumić. I bardzo często to wszystko odbywa się bez słów. W psychologii nazywamy to wzorcem przywiązania. Dziecko buduje go od pierwszych miesięcy życia. Jeśli matka jest spokojna, przewidywalna, reaguje na potrzeby dziecka, ono uczy się, że świat jest bezpieczny. Jeśli natomiast matka sama żyje w lęku, chaosie albo emocjonalnym odcięciu, dziecko chłonie ten stan jak własny. I to jest niezwykle ważne: dziecko nie przejmuję tylko poglądów rodziców, ale sposób przeżywania świata.

Czyli można odziedziczyć po przodkach nie tylko kolor oczu, ale też lęk?

Tak. Polska jest szczególnie przykładem społeczeństwa traumatyzowanego historycznie. Wojna, okupacja,



FOT. UNIWERSYTET WARSZAWSKI

Katarzyna Schier: - Polska jest szczególnie przykładem społeczeństwa traumatyzowanego historycznie.

głód, śmierć, później komunizm i życie w permanentnym napięciu – tego nigdy naprawdę zbiorowo nie przepracowaliśmy. Cierpienie nie było uznawane społecznie, ten wielomilionowy, nieopłakany cmentarz sprzed 80 lat ciągle się za nami ciągnie. Proszę sobie wyobrazić kobietę, która podczas wojny żyła w ciągłym strachu. Ukrywała Żydów, bała się śmierci, głodu, donosów. Potem urodziła dziecko. Ona może temu dziecku nigdy niczego nie opowiedziała, ale ono i tak przejęło jej lęk. Przez napięcie jej ciała, przez sposób reagowania. Jeżeli matka stale żyje tak, jakby czekała na katastrofę, która za chwilę może się wydarzyć, dziecko chłonie to jak gąbka. Ono jeszcze nie rozumie słów, ale doskonale rozumie emocje.

Wiele dojrzałych kobiet mówi dziś: „moja mama mnie nie przytulała”, „nie mówiła o emocjach”, „ciągle krzyczała”. Sama nieraz słyszałam: „przestań ryczeć, nie masz powodu, dopiero jak dostaniesz w dupę, to będziesz miała”. Skąd brał się ten chłód?

Ja bym bardzo uważała za ocenianiem tamtych kobiet. One często nie były zimne z wyboru. One po prostu nie miały zasobów – słownych czy emocjonalnych. Kobiety wychowujące dzieci w PRL-u żyły w permanentnym kryzysie. Wszystko trzeba było zdobyć, zorganizować, wystać, zała-

twić. Do tego bardzo wiele z nich same było dziećmi rodziców traumatyzowanych wojną. One kochały swoje dzieci. Tylko często nie miały skąd pojąć języka emocji. Miłość wyrażały karmieniem, troską, pilnowaniem, walką o przetrwanie. Nie siadały i nie mówiły: „widzę, że ci smutno”. Bo nikt wcześniej tak nie mówił do nich.

A my powielamy te wzorce? I dlatego tak często łapiemy się na tym, że kopiujemy matki nawet w drobiazgach – sposobie mówienia, ubierania się czy rozumieniu kobiecości?

Oczywiście. Córki nieustannie obserwują swoje matki i uczą się od nich kobiecości. Czasem są to rzeczy bardzo subtelne, a czasem zupełnie dosłowne. Widzę dziś nastolatki noszące bardzo długie, ostre paznokcie – dokładnie takie same jak ich matki. Kiedy pyta się je, dlaczego to robią, często nawet nie potrafią odpowiedzieć, albo bąkają, że „takie są ładne”. A przecież to jest wzorzec atrakcyjności przejęty niemal automatycznie od ich mam. Dziewczynka patrzy na matkę i uznaje, że „tak powinna wyglądać kobieta”. To właśnie mechanizm modelowania. Bardzo silny, bardzo głęboki i najczęściej całkowicie nieświadomy.

Jednak coś się odwróciło w tym transpokoleniowym przekazie: jeśli wcześniej dzieci wychowywano zbyt twarde, na zasadzie „zimnego chowu cięt”, to obecne obowiązuje „model bezstresowy”.

Także mam takie poczucie, że dziś coraz częściej wychowuje się dzieci bez stawiania granic. I to jest bardzo niebezpieczne. Pojawiło się przekonanie, że dobry rodzic to taki, który nigdy nie frustruje dziecka, nie mówi „nie”, nie zabrania niczego, nie wywołuje konfliktu. Tymczasem dziecko bez granic nie czuje się wolne. Paradoksalnie: ono czuje się zagubione, bo to właśnie granice dają dziecku poczucie bezpieczeństwa. Bardzo lubię bajkę o siedmiu

koźlątkach i wilku. W niej mama koza, wychodząc z domu, mówi dzieciom: „nie otwierajcie nikomu drzwi”. To jest właśnie dobra granica. Mama nie ogranicza dzieci dlatego, że chce je kontrolować, tylko dlatego, że chce je ochronić. Tymczasem dziś część matek boi się powiedzieć swojemu dziecku: „nie wolno”, „zabraniam”, „odłóż telefon”, „nie pójdziesz tam”. Bo boją się, że będą złymi mamami.

Wielu specjalistów mówi dziś wręcz o rodzicach sparaliżowanych lękiem przed stawianiem granic.

Bo współczesny rodzic żyje pod gigantyczną presją. Szczególnie kobiety. One mają być jednocześnie świetnymi matkami, partnerkami, pracownicami, mieć rozwój osobisty, zdrowe dzieci, piękne mieszkanie i jeszcze muszą wyglądać perfekcyjnie na Instagramie. To jest niewyobrażalnie obciążające. I potem taka kobieta siedzi sama w domu z małym dzieckiem przez dziesięć godzin, jest wyczerpana, przebudzowana, a internet cały czas mówi jej, że robi coś źle. Za dużo krzyczy. Za mało karmi piersią. Za szybko wróciła do pracy. Za późno wróciła do pracy. Dziecko ma za dużo ekranów. Albo za mało zajęć dodatkowych. To jest potężna maszyna wpędzająca w poczucie winy.

Dzisiaj modne jest też pokazywanie idealnego macierzyństwa w mediach społecznościowych.

To jest bardzo groźne. Nastąpiła ogromna estetyzacja macierzyństwa: piękne mamy, piękne dzieci, idealne wnętrza, uśmiechy i czułość, niemal lepka, płynąca z tych kadrów. Wszystko jest pastelowe i harmonijne. A potem taka kobieta siedzi w domu niewyspana, z nieumytą głową, jej dziecko wydziera się od trzech godzin, ona sama jest na granicy załamania i myśli: „co jest ze mną nie tak?”. Problem polega na tym, że porównuje swoje prawdziwe życie do cudzej wyreżyserowanej iluzji.

KALENDARIUM

5 CZERWCA POLSKA

1894 Powszechna Wystawa Krajowa: we Lwowie po raz pierwszy wystawiono Panoramę Racławicką autorstwa Jana Styki, Wojciecha Kossaka i innych.

1993 Odbyło się uroczyste otwarcie miasta Borne Sulonowo w powiecie szczecińskim, byłego garnizonu Armii Radzieckiej.

ŚWIAT

1942 Po utracie 4 lotniskowców i ciężkiego krążownika japońska flota rozpoczęła odwrót spod Midway. Wygrana przez Amerykanów bitwa stała się punktem zwrotnym w wojnie na Pacyfiku.

1944 Front zachodni: brytyjska 6. Dywizja Powietrznodesantowa rozpoczęła operację

„Tonga” w ramach przygotowań do lądowania w Normandii.

1947 Amerykański sekretarz stanu George Marshall przedstawił plan pomocy gospodarczej dla Europy (tzw. Plan Marshalla). Był to plan Stanów Zjednoczonych mający służyć odbudowie gospodarki krajów Europy Zachodniej po II wojnie światowej, obejmujący pomoc w postaci surowców mineralnych, produktów żywnościowych, kredytów i dóbr inwestycyjnych.

1981 Amerykańskie Centrum Kontroli i Prewencji Chorób doniosło w swym cotygodniowym biuletynie, że 5 homoseksualistów z Los Angeles zapadło na rzadką odmianę zapalenia płuc. Był to pierwszy opis choroby, którą rok później nazwano AIDS.

BOŻE CIAŁO



FOT. RADOSŁAW BRZOSTEK

Boże Ciało (oficjalnie: Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa) to jedno z najważniejszych i najbardziej uroczystych świąt w Kościele katolickim. Katolicy publicznie dziękują za dar Eucharystii, czyli obecność Jezusa w konsekrowanym chlebie i winie. To dzień o radosnym wydźwięku. Wierni biorą udział w barwnych procesjach, które przechodzą ulicami parafii do czterech ołtarzy. Ołtarze te symbolizują cztery strony świata oraz cztery Ewangelie. Wczoraj takie procesje przeszły w większości miejscowości naszego regionu.

Wszyscy czekali na Lecha Wałęsę

Jakub Roszkowski
Koszalin

Goście tegorocznego festiwalu Fale Historii Fale Wolności, organizowanego w Koszalinie, to autentyczni bohaterowie nie tylko tamtych czasów, czyli lat 70., 80. i 90. ubiegłego wieku, ale również czasów dzisiejszych. Wydarzenie zaczęło się w środę, potrwa aż do piątku.

Lech Wałęsa, prezydent RP, laureat pokojowego Nobla, stoczniowiec, przywódca pierwszej Solidarności, był w środę postacią kluczową festiwalu Fale Historii Fale Wolności, organizowanego już po raz drugi w Koszalinie. Ale obok niego pojawili się i występowali również goście wyjątkowi. Zaczął Jacek Merkel, opozycjonista, bliski współpracownik Lecha Wałęsy, internowany w stanie wojennym. Jego interesujący historyczny wykład o upadku komunizmu został na chwilę przerwany, gdy na dziedziniec Muzeum w Koszalinie wjechał czarny mercedes, z którego wysiadł Lech Wałęsa. Wiwaty i brawa na cześć noblisty trwały dłuższą chwilę. Wa-

łęsa przywitał się z Merklesem serdecznie, usiadł w pierwszym rzędzie, by wysłuchać do końca wykładu swojego przyjaciela.

Zanim jednak w welurowym fotelu na scenie usiadł już oczekiwany przez całą publiczność Lech Wałęsa, kilka słów wymienił ze słuchaczami Jacek Fedorowicz, artysta, kabareciarz, ale również działacz solidarnościowy. - Zapewne kojarzycie mnie z niektórymi filmami - zwrócił się raczej do młodzieży, która wypełniała krzesła na muzealnym dziedzińcu. - Imyście sobie, że jestem aktorem. Nic bardziej mylnego. Aktorem to jest Seweryn - wskazał ręką na Andrzeja Seweryna, wybitnego polskiego aktora, również opozycjonistę w latach PRL, który także jest gościem tegorocznego festiwalu. - Ja natomiast skończyłem studia i jestem dyplomowanym artystą malarzem sztalugowym, niesprzedawalnym - zaśmiał się, a publiczność biła brawo. Jacek Fedorowicz przyznał, że zdaje sobie sprawę, że wszyscy czekają na Lecha Wałęsę, więc obiecał, że będzie mówił krótko. - Dziękuję panie prezydencie za wszystko. Bo wszystko, co



Wiwaty i brawa na cześć noblisty trwały dłuższą chwilę

piękne wydarzyło się w moim życiu, wydarzyło się na skutek pana działalności. Od samego początku byłem pana zwolennikiem i wielbicielem - wyjął. I wtedy już na scenę wkroczył Lech Wałęsa. Znowu otrzymał gromkie brawa. Na początku zdominował prowadzących - dziennikarzy Magdaleny Rigamonti i Cezarego Łazarewicza - opowiadając o swoich najnowszych przemysleniach, później jednak trzymał się już pytań, odpowiadając na nie rzetelnie.

Lech Wałęsa zaczął jednak dość nostalgicznie. - We wrześniu kończę 83 lata. Mój okręt życia zmierza do brzegu. Chcę więc podziękować szczerze Jackowi Merklew. To on zrobił najwięcej roboty. Bez niego nie byłoby tych wszystkich rzeczy, o których mówimy.

- Nie chciałem być prezydentem. Uwiercie mi. Ale musiałem. Zachód nas nie chciał w NATO, ani w Unii Europejskiej. Dopiero w Pradze przekonałem prezydenta USA Billa Clintona

do tego. I dopiero jego zgoda dała nam ostateczne zwycięstwo nad komuną - mówił Wałęsa. Zapytany przez Cezarego Łazarewicza o pierwszy dzień stanu wojennego, gdy śmigłowcem wieziono go w nieznane, odparł w ten sposób: - Nie bałem się. Ja zawsze mówiłem, że możecie mnie zabić, ale nie możecie mnie pokonać. Dlatego była w nas wciąż wiara w zwycięstwo.

- Rośnie w siłę grupa, która pana neguje. Trafiają przede wszystkim do młodych, dla któ-

rych staje się pan antybohaterem - zauważała Magdalena Rigamonti. Wałęsa odparł, że żyjemy dziś w czasach, gdy zmieniają się epoki, a do głosu dochodzą demagogi i populiści, autorytety natomiast nie mają już znaczenia. - Mamy jednak obowiązek ratowania naszej cywilizacji, trzeba przejść na zarządzanie globalne, inaczej to się rozpadnie - powiedział.

Dyskusja trwała długo. Lech Wałęsa otrzymał ogromne brawa, wiwatowano na jego cześć jeszcze kilka razy.

Festiwal Fale Historii Fale Wolności organizuje Muzeum w Koszalinie wraz z Miastem Koszalin. To trzy dni rozmów, emocji i historii, które wciąż nas wszystkich dotyczą. W czwartek i piątek wystąpią m. in. Janusz Reiter, były ambasador RP w Niemczech i w USA, Jacek Czaputowicz, minister spraw zagranicznych w latach 2018-2020, Adam Leszczyński, historyk społeczny, Sławomir Sierakowski, socjolog, Seweryn Blumsztajn, uczestnik wydarzeń marcowych 1968, członek KOR, Bogdan Borusewicz, organizator strajków 1980, członek KOR, marszałek Senatu.

ODKRYCIE BRĄZOWY GROT I SZPILA Z PUSZCZY BUKOWEJ MOGĄ MIEĆ NAWET 3000 LAT

Skarb poruszył archeologów

Marek Jaszczyński
Zachodniopomorskie

W Puszczy Bukowej odkryto dwa przedmioty wykonane z brązu: ozdobną szpilę oraz grot oszczepu. Odkrycia dokonali eksploratorzy ze Stowarzyszenia Archeograf. Znaleźli go od początku wzbudza ogromne emocje, zarówno wśród pasjonatów historii, jak i archeologów. Znamy pierwsze opinie ekspertów.

To może być jedno z najważniejszych odkryć archeologicznych w rejonie Szczecina od dziesięcioleci. Najcenniejszym ze znalezionych zabytków jest prawdopodobnie brązowy grot oszczepu lub włóczni. Drugim odnalezionym przedmiotem jest wykonana z brązu ozdobna szpila.

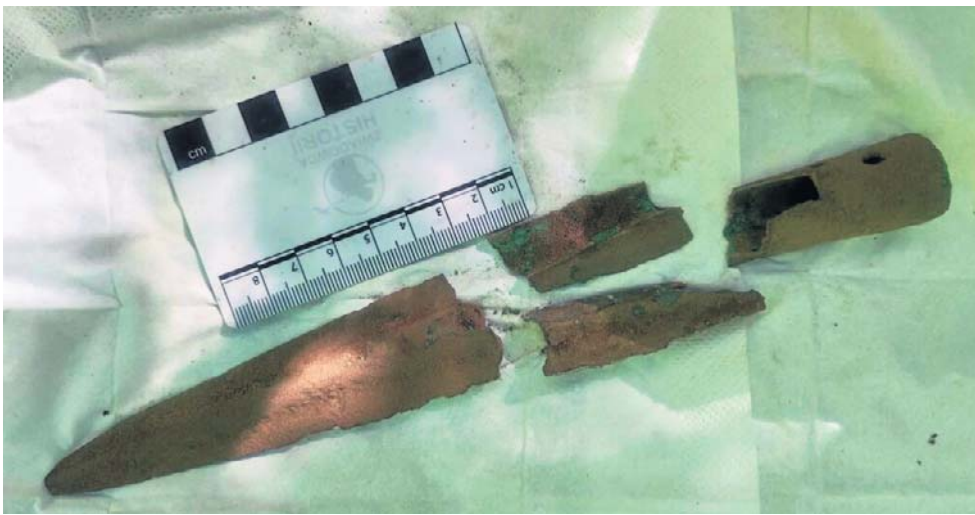
Sobotni poranek 23 maja nie zapowiadał historycznej sensacji. Tym razem jednak detektor metalu wskazał obiekt znajdujący się zaledwie około 20 centymetrów pod powierzchnią ziemi. Po odsłonięciu znaleziska okazało się, że nie są to wojenne pozostałości, lecz dwa

wykonane z brązu przedmioty o znacznie starszym rodowodzie.

Bezpośrednim odkrywcą zabytków jest Józef Krzysztof Doleżał. To właśnie on usłyszał sygnał na detektorze, wskazał miejsce i samodzielnie wydobyl przedmioty z ziemi. Dopiero gdy zorientował się, że jak wyjątkowym znaleziskiem ma do czynienia, dołączyli do niego Klaudia, Ignacy i Marceli.

Znalezione zabytki zostały przekazane do Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Szczecinie zgodnie z obowiązującymi przepisami. Do depozytu trafiła również pełna dokumentacja znaleziska. Następnie pełna dokumentacja, fotografie, pomiary oraz dokładna lokalizacja GPS trafiła do kilku cenionych archeologów z Polski i zagranicą.

Wśród nich znalazł się prof. Kristian Kristiansen z uniwersytetu w Göteborgu, jeden z najbardziej znanych badaczy europejskiej epoki brązu. Jak przekazał w swojej opinii, grot oszczepu może być „typem nordycko-bałtyckim z okresu



Dla członków „Archeografy” odkrycie ma wymiar nie tylko naukowy, ale też osobisty. Przyznają, że możliwość trzymania w dłoniach przedmiotu sprzed około 3 000 lat robi ogromne

V”, datowanym na lata około 950-750 p.n.e. Według profesora był to czas intensywnych kontaktów handlowych oraz kolonizacji Pomorza. Z kolei ozdobna szpila mogła mieć związek z regionem alpejskim.

To nie jedyna opinia. Profesor Christian Horn z uniwersytetu w Göteborgu napisał do odkrywców: „(...)

Zgadza się z Kristianem (mowa o profesorze Kristianie Kristiansenie - przyp.red.), że włócznia zdecydowanie wygląda na nordycką. Nie mam jednak pewności co do jej datowania. Z pewnością (...) datowane jest na okres IV - 1100-950 p.n.e. (...).

Kilka dni później odpowiedział także prof. Radosław Ja-

niak, specjalizujący się w problematyce epoki brązu i wczesnej epoki żelaza. Naukowiec przychylił się do opinii dotyczącej późnobrązowego pochodzenia grotu. Zwrócił również uwagę, że obecność szpil w depozytach z tego okresu należy do rzadkości.

- Macie do czynienia z inwentarzem grobowym - napi-

sał archeolog w prywatnej korespondencji ze stowarzyszeniem.

Dodajmy, że nazwa epoki pochodzi od używanych wówczas powszechnie narzędzi z nowo wprowadzonego surowca - brązu, czyli stopu miedzi z cyną o stosunku 9:1. Przykładami przedmiotów z brązu są: siekiery, dłuta, młoty, motyki, sierpy, noże, ozdoby, broń (miecze, topory, ostrza do włóczni, grot, części pancerzy). Brąz pojawił się w Egipcie i Mezopotamii około 3500 p.n.e.

Na przełomie III i II tysiąclecia p.n.e. umiejętność obróbki metali dotarła na ziemie polskie. Kultury związane z wczesną epoką brązu w zasadzie jeszcze nie znały technologii wytwarzania brązu, jednak pojawiły się pierwsze wytwory z miedzi, srebra i złota pochodzące z importów.

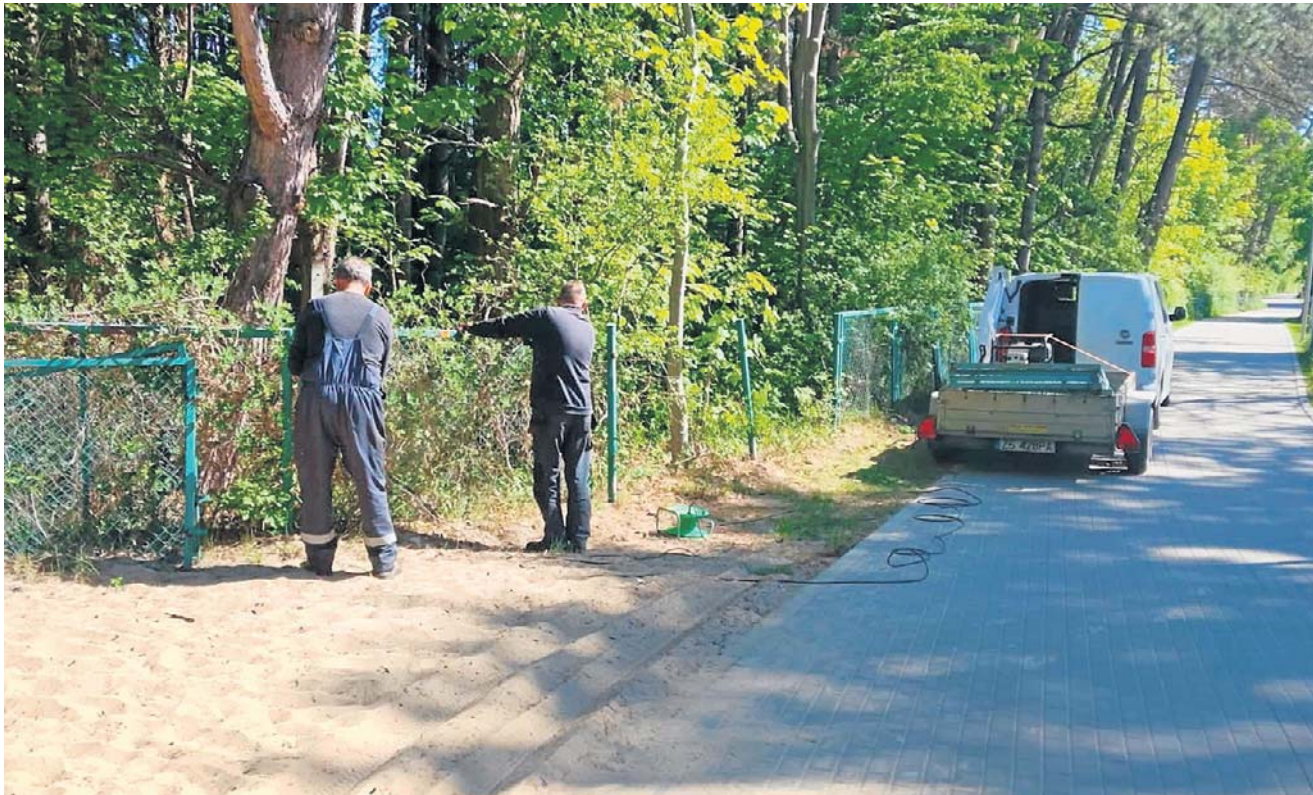
Przyniosły je w latach 2300-2100 p.n.e. nowe grupy ludzkie z południa Europy reprezentujące kultury oparte na tradycji kultur ceramiki sznurowej: kultura strzyżowska i kultura mierzanowicka.

Obywatelska interwencja w Unieście. Płot oddzielający od wydm będzie naprawiony

Jakaub Roszkowski
Region

Trzeba było na to chwilę poczekać, nawet delikatnie zasugerować, że jeśli nie mogą, to zrobią to za nich mieszkańcy w czynie obywatelskim, pomogło, otoczenie promenady w Unieście ekipa z Urzędu Morskiego już naprawia.

- Już jakiś czas temu, to był styczeń, zwróciłem się z prośbą o interwencję dotyczącą naprawy infrastruktury naszej promenady. Chodzi o odcinek do przystani rybackiej w Unieście - opowiada Mariusz Pakulski. Po zimowych sztormach i wichurach drzewa powyginały stalowe przesła płotu, który odgradza promenadę od wydm. - Wyglądało to nie-
dobrze. Ale ponieważ konkretnego odzewu ze strony samorządu nie było, postanowiłem sprawdzić czy da się coś z tym zrobić z perspektywy zwykłego mieszkańca. Napisałem maila, zadzwoniłem kilka razy



Zgodnie z deklaracją kierownictwa Urzędu Morskiego ekipa z ochrony wybrzeża rozpoczęła już kilka dni temu prace naprawcze ogrodzenia promenady.

do Urzędu Morskiego w Szczecinie, wreszcie zasugerowałem, że jak nie mogą, nie mają czasu, to my, mieszkańcy, możemy to zrobić w czynie społecznym. No i poskutkowało. Otrzymałem pozytywną deklarację ze strony Urzędu Morskiego, że to naprawią - cieszy się Pakulski.

Zgodnie z deklaracją kierownictwa Urzędu Morskiego ekipa z ochrony wybrzeża rozpoczęła już kilka dni temu prace naprawcze ogrodzenia promenady.

- To cieszy, bo to przecież ważny turystyczny trakt w Unieście. Na szczęście będzie naprawiony przed sezonem - kończy Pakulski. Dodajmy, że Mariusz Pakulski jest też autorem dwóch ekologicznych projektów w tej części kurortu: Oddychaj Mielnem i Oddych pod kontrolą. Ma tu powstać, na bazie wspomnianej promenady, strefa spacerowa spełniająca surowe normy jakości powietrza WHO. Projekty zostały zgłoszone do mieleńskiego budżetu obywatelskiego.

FOT. MATERIAŁY WŁASNE

KRÓTKO

KOSZALIN

We wtorek, tuż przed północą, policjanci otrzymali zgłoszenie o zdarzeniu, do którego doszło w sklepie monopolowym przy ul. Kwiatkowskiego w Koszalinie.

Z ustaleń funkcjonariuszy wynika, że do sklepu monopolowego przy ul. Kwiatkowskiego w Koszalinie wszedł mężczyzna, który zażądał wydania pieniędzy. W lokalu przebywała w tym czasie 80-letnia kobieta, która przekazała mężczyźnie gotówkę w kwocie około 1000 złotych -

wyjaśnia nam mł. asp. Paulina Wiśniewska-Basiak, oficer prasowa koszalińskiej policji.

Następnie sprawca oddalił się z miejsca zdarzenia. Pokrzywdzona nie odniosła obrażeń i nie wymagała pomocy medycznej - dodaje.

Na miejsce skierowano patrol policji. Funkcjonariusze na miejscu wykonali szereg czynności, w tym między innymi zabezpieczyli monitoring, który będzie analizowany pod kątem ustalenia tożsamości sprawcy. Obecnie trwają dalsze czynności.

Rowerem z Mielna do Wisły i z powrotem dla syna trochę później. Start będzie we wrześniu

Jakub Roszkowski
Region

Charytatywna wyprawa Roberta Malinowskiego z nadmorskich Łaz, który chce w ten sposób wesprzeć swojego chorującego syna Wiktora, ale też nagłośnić ważny problem, jakim jest ciężka choroba, która powoduje, że chory traci z dnia na dzień całe swoje prywatne życie, rozpocznie się we wrześniu.



Choroba autoimmunologiczna zniszczyła 23-letniemu Wiktorowi Malinowskiemu nerki. Jego tata chce przejechać całą Polskę, aby wspomóc leczenie syna

- Seria badań, zaplanowana na najbliższy czas, uniemożliwiła mi rozpoczęcie podróży teraz, w czerwcu - wyjaśnia nam Robert Malinowski. - Przenoszę więc to wydarzenie na wrzesień, gdy będzie już po wakacjach, na pewno zdecydowanie spokojniej - dodaje.

Jest już jednak założona zbiórka na rzecz Wiktora Malinowskiego, syna pana Roberta.

Przeszczep planowany jest na przełom września i października. Robert Malinowski chce przejechać rowerem z Mielna do Wisły i wrócić

Ich całą historię można przeczytać, a później wpłacić do wolną kwotę na stronie www.siepomaga.pl/wiktor-malinowski.

Przypomnijmy, choroba autoimmunologiczna zniszczyła 23-letniemu Wiktorowi nerki i potrzebna jest szybka pomoc i skuteczne leczenie. Konieczny

jest przeszczep, później rehabilitacja. Układ odpornościowy 23-latkę omyłkowo atakuje kłębuszki nerkowe. Przeszczep jest konieczny. To Robert Malinowski prawdopodobnie będzie dawcą nerki. Ale obaj muszą jeszcze przejść szczegółowe badania.

Przeszczep planowany jest na przełom września i paździer-

nika. Robert Malinowski chce przejechać rowerem z Mielna do Wisły i wrócić, podróż oczywiście transmitować, a w porozumieniu z portalem internetowym siepomaga.pl pozbierać fundusze na dalsze leczenie i rehabilitację syna oraz uprządkowanie jego prywatnych spraw.

©@

FOT. MATERIAŁY PRYWATNE

AUTOREKLAMA

Nekrologi

zamówisz tutaj:
Koszalin, ul. Partyzantów 17, 94 347 35 11
reklama.koszalin@polskapress.pl

0011535245

Wyrazy głębokiego współczucia
Tomaszowi Szuwalskiemu
z powodu śmierci

Ojca

składają
Zarząd i Pracownicy

Grupy Kapitałowej JANTAR Sp. z o.o. w Słupsku



Masło ma unikalny skład. Klienci kupują je hurtowo. Teraz mogą sobie na nie pozwolić

Agnieszka Romanowicz
agnieszka.romanowicz@polskapress.pl

Ceny masła radykalnie spadły, dlatego sięga po nie więcej klientów. Masło ma wiele zalet dla zdrowia człowieka, ale nie jest pozbawione wad.

W tym roku największe sieci handlowe regularnie zachęcają do kupna masła poniżej 2 zł (nawet za 0,99 zł) pod warunkiem zakupu kilku sztuk. Przypomnijmy, że pod koniec 2024 roku cena masła sięgnęła 12 zł za kostkę.

Wiele mleka na świecie

Jednym z powodów radykalnego spadku cen masła jest wzrost produkcji mleka na świecie w 2025 r., głównie w Azji oraz w Ameryce Północnej, Środkowej i Południowej. Polska, ze względu na wielkość stada krów mlecznych, należy (obok Niemiec i Francji) do największych producentów mleka w Unii Europejskiej.

Nadwyżki surowca z 2025 r. zostały przeznaczone na produkcję masła.

- Teraz, gdy jest duża promocja, kupuję więcej kostek i wrzucam je do zamrażarki. Z pewnością ceny znowu pójdą w górę. Przerabialiśmy to już z cukrem i olejem. Rynek jest nieprzewidywalny - uważa Czytelniczka.

- Ludzie kupują więcej masła - potwierdza sprzedawczyni jednego z bydgoskich marketów. - Może na zapas, a może dlatego, że teraz mogą sobie na nie pozwolić. W końcu jest zdrowsze od margaryny.

Masło ma unikalny skład

Czy faktycznie?

- Skład tłuszczu mleka krowiego jest w pewnym stopniu unikalny i z tego powodu może mieć inny wpływ na nasze zdrowie niż pozostałe tłuszcze zwierzęce - przyznaje prof. Hanna Mojska z Narodowego Centrum Edukacji Żywnościowej.

Wyłącznie w tłuszczu mlecznym są obecne tzw. krótko-łańcuchowe nasycone kwasy tłuszczowe (SCFA). Wyniki badań na zwierzętach sugerują, że dieta bogata w SCFA

może zmniejszać ryzyko chorób bakteryjnych oraz grzybic układu pokarmowego.

- SCFA, szczególnie kwas masłowy, posiadają korzystne działanie na przewód pokarmowy, m. in. ograniczają stan zapalny i chronią przed działaniem patogenów, działają normalizująco w różnego rodzaju zaburzeniach jelit oraz możliwe, że mają działanie przeciwnowotworowe w stosunku do nowotworów jelita grubego - dodaje prof. Mojska.

W masle występują również, charakterystyczne wyłącznie dla tłuszczu mlecznego, tzw. sprzężone dieny kwasu linolowego (CLA).

- Powstają one pod wpływem działania bakterii bytujących w przewodzie pokarmowym zwierząt przeżuwających - informuje prof. Mojska. - Wykazano, że CLA wykazują działanie antynowotworowe, a jego podawanie zwierzętom powodowało obniżenie masy ciała i zmniejszenie blaszek miażdżycowych.

W masle obecne są rozpuszczalne w tłuszczach witaminy



FOT. PIXAVAY

Jednym z powodów radykalnego spadku cen masła jest wzrost produkcji mleka na świecie w 2025 r. Nadwyżki surowca zostały przeznaczone na produkcję masła

A i D oraz niewielkie ilości witaminy E.

Uwaga na cholesterol

Z drugiej strony, w masle dominują nasycone kwasy tłuszczowe.

- Których spożycie należy bezwzględnie ograniczać - podkreśla prof. Mojska. - Tłuszcz

mleczny zawiera również izomery trans kwasów tłuszczowych. Są one uznanym czynnikiem ryzyka powstawania i rozwoju chorób sercowo-naczyniowych oraz innych zaburzeń stanu zdrowia.

Masło, w przeciwieństwie do tłuszczów roślinnych, jest też źródłem cholesterolu.

- Z tego względu powinniśmy zrezygnować z jego spożycia, jeśli mamy za wysoki poziom cholesterolu we krwi (szczególnie frakcji LDL) lub znajdujemy się w grupie ryzyka chorób kardiologicznych - zaleca ekspertka Narodowego Centrum Edukacji Żywnościowej. ©©

REKLAMA

0011532008

Pasażerowie pociągów POLREGIO na trasie Świdwin - Koszalin oszczędzają setki złotych miesięcznie

Od kilku miesięcy mieszkańcy regionu podróżujący na trasie między Koszalinem a Świdwinem mogą cieszyć się znacznie tańszymi przejazdami. Nowa oferta POLREGIO, znana jako „Bilet dobrych relacji”, staje się hitem wśród osób regularnie dojeżdżających do pracy i szkół. Dzięki niej w portfelach pasażerów zostaje nawet 113 zł miesięcznie więcej.

Codziennie dojazdy na trasie Koszalin - Białogard - Świdwin przestały być dużym obciążeniem dla domowego budżetu. Wprowadzony przez POLREGIO „Bilet dobrych relacji” to specjalna oferta dla osób korzystających z biletów miesięcznych imiennych typu „tam i z powrotem”. Zmiana taryfy, która obowiązuje już od dłuższego czasu, zrewolucjonizowała koszty transportu w tej części województwa zachodniopomorskiego.

Realne oszczędności: Nawet 26% taniej

Głównym atutem nowej oferty jest znacząca obniżka cen. Średnio pasażerowie płacą o ponad 25% mniej niż w standardowej taryfie POLREGIO. Najbardziej spektakularne różnice odczuwają osoby podróżujące na najdłuższym odcinku objętym ofertą. W przypadku relacji Koszalin - Świdwin cena biletu miesięcznego normalnego spadła z 413 zł na równe 300 zł. Oznacza to, że każda taka osoba oszczędza 113 zł miesięcznie, co w skali roku daje kwotę rzędu 1350 zł. Zniżki nie omijają także pasażerów na krótszych odcinkach. Na trasie z Koszalina do Białogardu cena spadła o 75 zł (z 275 zł na 200 zł), a między Białogardem a Świdwinem bilet stanął z 314 zł na 230 zł. Co istotne, obniżki objęły wszystkie popularne ulgi ustawowe - w tym te dla uczniów (37%) oraz studentów (51%). Dzięki temu student dojeżdżający z Białogardu do Koszalina

płaci dziś za miesięczną swobodę podróżowania niecałe 100 zł.

Dla kogo ta oferta?

Bilet dobrych relacji został zaprojektowany z myślą o pasażerach, dla których pociąg jest podstawowym środkiem transportu. To idealne rozwiązanie dla:

- pracowników firm i instytucji w Koszalinie, Białogardzie i Świdwinie,
- uczniów szkół średnich oraz studentów,
- pracowników służby zdrowia i administracji publicznej.

Posiadanie biletu miesięcznego eliminuje konieczność codziennego stania w kolejkach do kas czy zaglądania w telefon i pozwala na nielimitowaną liczbę przejazdów w wybranej relacji, co daje ogromną swobodę także w dni wolne od nauki czy pracy.

Wiele pociągów, lepszy komfort

Niższe ceny to nie wszystko.

Wraz z ofertą finansową pasażerowie zyskali lepszy dostęp do połączeń. W obecnym rocznym rozkładzie jazdy liczba pociągów uległa wyraźnemu zwiększeniu. Szczególnie zadowoleni mogą być mieszkańcy Świdwina - liczba połączeń w kierunku Koszalina wzrosła z 8 do aż 12 dziennie. Z kolei z Koszalina do Świdwina

kursuje teraz 10 składów zamiast dotychczasowych 8. Tak gęsta siatka połączeń sprawia, że kolej stała się konkurencyjną alternatywą dla samochodu. Biorąc pod uwagę ceny paliw oraz koszty utrzymania auta, miesięczny wydatek rzędu 200-300 zł za nielimitowane przejazdy nowoczesnymi składami POLREGIO stawia

transport szynowy na pierwszym miejscu pod względem ekonomicznym i logistycznym.

Bilet dobrych relacji można nabyć w kasach biletowych, w automatach, a także przez aplikacje mobilne i strony internetowe. To prosty sposób, by płacić mniej i podróżować wygodniej każdego dnia.

Bilet dobrych relacji
niższe ceny podróży na trasie
Koszalin - Białogard - Świdwin

Pomorz
Zachodnie

Meli już nie ma. Uniwersytet oddał skarb

Adam Willma
Sztuka

W Muzeum UMK w Toruniu znajduje się unikalna kolekcja obrazów światowej sławy artystki Meli Muter. Tak przynajmniej można wyczytać w przewodnikach. Ale obrazów już dawno tu nie ma. Jak to możliwe, że ze zbiorów po cichu znikła unikalna kolekcja?

Była nie tylko wybitną malarką, ale i postacią z kulturalnego świecznika, która obracała się w środowisku poetów, kompozytorów i malarzy. W jej mieszkaniu bywali artyści z Montparnasse'u, emigranci, intelektualiści, polityczni uciekinierzy. Ironią losu jest, że dopiero w ostatnich dekadach powróciła pamięć o Meli Muter. Ironią losu jest również to, że stało się to za sprawą Torunia.

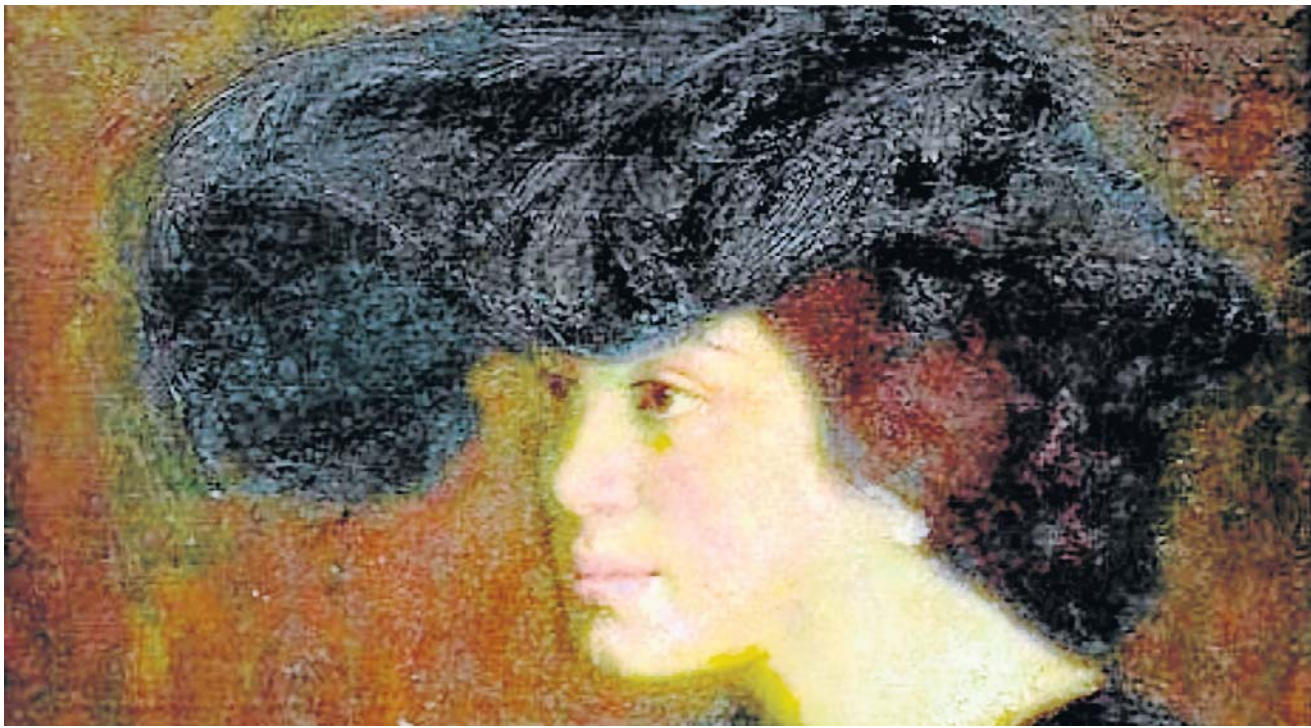
Z Reymontem przy stole

Ojciec przyszłej malarki miał talent do skupiania wokół siebie ludzi utalentowanych. Wśród znajomych rodziny przewijali się Reymont, Staff, Kasprzowicz. Zamożny żydowski dom był mocno zanurzony w polskiej kulturze. Na starych fotografiach jest dziewczynką z dobrej warszawskiej rodziny - w długich eleganckich sukniach na tle eleganckich wnętrz.

Do Paryża, miasta, które działało wtedy na wyobraźnię całej europejskiej inteligencji, wyjechała niedługo po ślubie z Michałem Mutermilchem. Muter bardzo szybko przestała być anonimową przyjezdną. Wchodziła w środowisko paryskie naturalnie, bez prowincjonalnej nieśmiałości, pomagały jej języki i łatwość nawiązywania relacji. Wokół niej pojawiali się ludzie z bardzo różnych światów - poeci, malarze, muzycy, polityczni idealisci, m.in. Rilke, Romain Rolland i Henri Barbusse. Jej nazwisko również coraz częściej pojawiało się w recenzjach.

Życie jak obraz

Najbardziej przyciągały ją ludzie, których życie nie oszczędzało: starcy, dzieci z ubogich rodzin, rybacy, uliczni handlarze, kobiety o zniszczonych twarzach. Nie ufa temu, co gładkie i dekoracyjne, krytycy piszą wręcz o fascynacji cierpieniem. Ale piszą z uznaniem, więc w latach międzywojennych można mówić o rzeczywistym sukcesie. Mela często wystawia swoje



Obraz Meli Muter autorstwa Bolesława Nawrockiego

obrazy, dostaje zamówienia na portrety. Stać ją na nowoczesną willę - pracownię zaprojektowaną przez Auguste'a Perreta. Na fotografiach z tamtych lat sprawia wrażenie artystki, która znalazła swoje miejsce.

Ta sielanka nie trwa długo. Najpierw nadchodzi osobiste tragedie. Raymond Lefebvre, z którym była związana, ginie w niejasnych okolicznościach. Niedługo później umiera z powodu gruźlicy kości jej jedyny syn Andrzej. Wielki kryzys załamuje rynek sztuki. Muter musi oddać w najem własny dom, bo nie stać jej już na jego utrzymanie. Na koniec wojna. Muter wyjeżdża na południe Francji, utrzymując się między innymi z lekcji rysunku. Obrazy oddaje w różnych miejscach na przechowanie. Część ginie bezpowrotnie.

Kiedy wraca do Paryża, jest już cieniem dawnej artystki z czasów międzywojnia. Mieszka skromnie, borykając się z coraz większymi problemami ze wzrokiem. Świat sztuki, przejęty nowymi trendami, przestaje ją dostrzegać.

Pani w kapeluszu z piórami

Był rok 1958, gdy w ciasnej zawilgoconej pracowni przy rue Pascal odnalazł ją Bolesław Nawrocki. Z wykształcenia był prawnikiem i muzykologiem, zajmował się też działalnością społeczną, kolekcjonerstwem i dokumentowaniem sztuki

emigracyjnej. Postać Muter fascynowała go jeszcze w dzieciństwie - w rodzinnym domu wisiał namalowany przez jego ojca portret młodej malarki w kapeluszu z piórami. Współcześni opisywali go jako człowieka ołwiadniętego sztuką. Nie miało dla niego znaczenia, że dla świata paryskich galerii Muter była już wówczas postacią z przeszłości.

Nawrocki zaczął z uporem, wręcz obsesyjnie szukać obrazów Muter. Docierał do prywatnych mieszkań i kolekcji, odkupował, odyskiwał dokumenty, zbierał fotografie i listy, szukał prac rozproszonych po wojnie. Z czasem stał się jedną z najbliższych osób w otoczeniu malarki. Wraz z żoną pomagał jej organizować codzienne sprawy, zajmował się dokumentacją, kontaktami, sprzedając części obrazów. Ale przede wszystkim próbował ocalić jej dorobek przed całkowitym rozpadem. Jego misji sprzyjała cierpliwość archiwisty - godzinami przeglądał katalogi wystaw, listy, fotografie. Odtwarzał historię życia Muter niemal kawałek po kawałku, rozumiejąc, że po jej śmierci spuścizna po malarce może rozprościć się ostatecznie. Interesowali go również inni artyści emigracyjni - ludzie rozsiani po Europie, najczęściej nieobecni już w polskiej pamięci.

Od Paryża do Torunia

Za sprawą mrówczej pracy Nawrockiego powstała jedna

z największych prywatnych kolekcji dzieł i dokumentów związanych z Melą Muter. W latach 90. kolekcja Nawrockich zaczęła być szerzej pokazywana publicznie, m.in. w Muzeum Narodowym w Warszawie zorganizowano dużą wystawę prac Muter z ich zbiorów.

W tym samym czasie w Toruniu powstawało Muzeum Uniwersyteckie UMK. Kolekcja budowana jednocześnie z Archiwum Emigracji była nie tylko wokół historii uczelni - jej rdzeniem stała się sztuka Polaków za granicą. Za sprawą starań prof. Mirosława Supruniuka do przejętego od Narodowego Banku Polskiego gmachu Collegium Maximum trafiły zbiory przywożone z całego świata. Kolekcja Muter pasowała tu idealnie. Spadkobierczynie Bolesława Nawrockiego zgodziły się przekazać kolekcję Uniwersytetowi

- Wzorowałem się na instytucjach w Yale i Londynie, znacznie większych, znacznie starszych, które swoimi zbiorami wspierały splendor instytucji, ale też spełniały pewien obowiązek obywatelski wobec współczesnych i przyszłych - wspomina Mirosław Supruniuk. - Było dla mnie zrozumiałe, że obok spuścizny archiwalnych, książek czy pamiątek osobistych, będziemy musieli zbierać także dzieła sztuki. Szczęśliwie, rozumiał to również Rektor prof. Jan Kopcewicz, biolog o artystycznej du-

szy, muzyk. Wspólnie omawialiśmy sens istnienia muzeum, które zbierać będzie dzieła sztuki polskich emigrantów i zdaje mi się, że uwierzył, że unikatowość kolekcji muzealnej gwarantuje ciekawość, ale też dobre muzeum może być narzędziem promocji całego Uniwersytetu.

Z początku do Muzeum trafiła spuścizna archiwalna, a później również zespół ponad 100 obrazów olejnych i drugie tyle rysunków, akwarel. Kolekcja Meli Muter szybko stała się jednym z najcenniejszych elementów tego miejsca.

- Wartość rynkowa malarstwa Muter jest zbyt wielka, by właściciel mógł ją ofiarować Uniwersytetowi bezwarunkowo - przyznaje prof. Supruniuk. - Jednak z depozytu mogliśmy korzystać bez przeszkód. I korzystaliśmy - obrazy pokazywane były fragmentami w całej Polsce, udostępniane były za granicą, a w roku 2009 pokazaliśmy całość w Muzeum Uniwersyteckim, wydając przy okazji album. To była bodaj najbardziej oblegana wystawa w całej historii Muzeum.

Pożegnanie z Toruniem

W 2013 roku spadkobierczynie zwróciły się do uczelni z prośbą o ubezpieczenie kolekcji oraz pełniejszy wgląd w prace badawczo-konserwatorskie. Ku zaskoczeniu wszystkich odpowiedź władz UMK było wypowiedzenie umowy depozytu.

Zdaniem Patryka Tomaszewskiego, jednym ze źródeł problemów dla UMK było paradoksalnie ogromne zainteresowanie pracami Muter po zorganizowanej w Toruniu wystawie.

- Katalog wystawy i nagłośnienie kolekcji spowodowało podniesienie wartości kolekcji Nawrockich. Powodowało to konieczność ponownej wyceny dzieł i zapłacenia wyższego ubezpieczenia - tłumaczy rzecznik UMK.

Dr Tomaszewski podkreśla, że w tym samym czasie uczelnia przeżywała poważne problemy finansowe, a na uniwersytecie wprowadzono politykę cięć kosztów utrzymania: - Depozyt został zwrócony rodzinie ze względu na bardzo wysokie koszty ubezpieczenia i konserwacji. Uczelnia była wówczas w bardzo trudnej sytuacji finansowej.

Przez pewien czas pojawił się cień szansy, że kolekcję Muter uda się ocalić dla Torunia dzięki pomocy Urzędu Marszałkowskiego, który dysponował budynkiem przy ul. św. Jakuba. Okazało się jednak, że przerobienie zabytkowego obiektu dla celów ekspozycyjnych byłoby zbyt skomplikowane.

Uchylone drzwi

Prof. Mirosław Supruniuk nie kryje żalu: - Kolekcja stała się też podmiotem badań konserwatorskich finansowanych z grantu UE. Powstawały prace magisterskie i doktorskie. To miał być magnes dla kolejnych kolekcji z tego kręgu, warsztat do badań naukowych nad polskim malarstwem XX wieku. I była taka szansa. Prowadziliśmy rozmowy z kolekcjonerami i właścicielami prac artystów szkoły paryskiej. Zwrot depozytu spowodował, że marzenia trzeba było zredukować i skupić się na możliwym.

Problem spuścizny po Meli Muter jest częścią szerszego zjawiska. Wiele muzeów niechętnie bierze w depozyt nawet wysokiej klasy dzieła. Z kolei właściciele prywatni, którzy dysponują tymi dziełami, nie mogą liczyć na żadną pomoc państwa.

Maria Nawrockia-Mierzwa, współwłaścicielka obrazów, chciałaby uniknąć ryzyka sprzedaży i rozproszenia kolekcji po Bolesławie Nawrockim: - Dlatego pozostawiam uchylone drzwi na propozycje z Torunia, jeśli takie się pojawią w przyszłości i nadal jestem otwarta na rozsądne propozycje. ©©

FOT. Z KOLEKCJI RODZINY NAWROCKICH

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

DŁUGI CZERWCOWY WEEKEND

Polacy wybierają wyjazdy

Polacy na długi weekend czerwcowy podróżują głównie do Włoch, ale dużą popularnością cieszy się również Hiszpania – wynika z danych przedstawicieli branży turystycznej zebranych przez PAP. W przypadku podróży krajowych najwięcej turystów wybiera się nad Bałtyk.

Za większą część, bo ok. 40 proc. wszystkich rezerwacji, odpowiadają podróże dla dwóch osób, wyjazdy dla rodzin stanowią 25 proc. całości. Ponadto ponad połowa klientów wybiera w tym okresie

wyjazdy z noclegami ze śniadaniem, a 43 proc. rezerwacji dotyczy hoteli 4-gwiazdkowych.

– W przypadku Bożego Ciała widzimy, że wielu naszych użytkowników traktuje ten termin jako przedsmak wakacji. Wybierają wyjazdy, które pozwalają zarówno odpocząć, jak i poczuć atmosferę nowego miejsca bez konieczności planowania dłuższego urlopu, który oszczędzają na szczyt sezonu – stwierdziła Joanna Kwiatkowska z biura podróży.

BOŻE CIAŁO

Procesje na polskich ulicach



FOT. MARIAN ZUBRZYCKI/PAP

Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, zwana potocznie Bożym Ciałem, jest świętem ruchomym. W Polsce przypada w czwartek po uroczystości Najświętszej Trójcy. Wczoraj, w całym kraju, ulicami miast i miasteczek przeszły procesje. Na zdjęciu procesja w Łowiczu.

EKOLOGIA

Darmowa kranówka w lokalach

Revolucja w polskich lokalach wejdzie w życie już 12 sierpnia. Od tego dnia restauracje, bary i kawiarnie zostaną prawnie zobowiązane do tego, aby na życzenie klienta na stole pojawiła się darmowa kranówka. Przepisy określają jasny limit – lokale będą musiały podać bezpłatnie do 0,5 litra wody na osobę. Woda będzie serwowana w naczyniach

wielokrotnego użytku lub wielokrotnego napełniania, bezpośrednio do stolika lub w miejscu wydawania posiłków.

Wprowadzenie tych zmian ma na celu przede wszystkim drastyczne ograniczenie ilości generowanych śmieci.

Co ciekawe, we Włoszech sąd uznał niedawno, że lokale nie mają takiego obowiązku.

RAPORT NCK

Tylko 1 proc. Polaków wskazuje 4 czerwca jako powód do dumy narodowej, podczas gdy pamięć o bitwie pod Grunwaldem napełnia dumą już 24 proc. respondentów. Jak zaznaczył Antoni Głowacki z Narodowego Centrum Kultury, problem nie polega na braku pamięci o transformacji, lecz na tym, że społeczeństwo postrzega ją jako długotrwały proces, a nie jedno symboliczne wydarzenie.

”

4 czerwca 1989 roku wybraliśmy nową Polskę, to była czerwona kartka dla komunistów

Lech Wałęsa

Kolejne weto prezydenta? Przed nami miesiące sporów

Dorota Kowalska
Warszawa

Sejm, po miesiącach dyskusji, uchwalił wreszcie ustawę o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Pytanie, czy podpisze ją prezydent.

Szykuje nam się kolejna polityczna burza. W zeszłym tygodniu Sejm uchwalił ustawę o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Za głosowało 230 posłów, 198 było przeciw, 1 wstrzymał się od głosu. Wśród posłów koalicji, którzy zagłosowali przeciw, byli politycy Polskiego Stronnictwa Ludowego: Marek Biernacki, Andrzej Grzyb, Urszula Nowogórska i Jacek Tomczak.

Ustawa o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu zakłada, że dwie osoby pełnoletnie będą mogły zawrzeć umowę u notariusza, która – rejestrowana w USC – umożliwi stronom m.in. wybór ustroju majątkowego, ustanowienie obowiązku alimentacyjnego, uzyskanie prawa do korzystania ze wspólnego mieszkania oraz nadanie drugiej osobie uprawnień do dostępu do informacji medycznych i działania jako pełnomocnik w sprawach codziennego życia.

Teraz ustawa trafi na biurko Karola Nawrockiego i tu mamy problem. Paweł Szefermaker, prezydencki minister stwierdził, że „nie ma i nie będzie zgody pana



FOT. WOJCIECH WOJTKIEWICZ

Nie podpiszę żadnego prawa, które będzie stanowiło alternatywę dla małżeństwa – powiedział prezydent

prezydenta na legalizację związków partnerskich”.

– Mamy kontekst próby siłowego wprowadzenia transkrypcji związków partnerskich, które poza granicami kraju nazywane są małżeństwami jednopłciowymi. Pierwszym krokiem jest wprowadzenie związków partnerskich, drugim jest transkrypcja, a następnie prowadzi to do przysposobienia i adopcji dzieci. Taka polityka małych kroków. Nie będzie zgody pana prezydenta na wprowadzanie quasi-małżeństwa do polskiego prawa – powiedział Szefermaker, dodając, że prezydent „będzie chciał

życzliwie spojrzeć na rozwiązania wprowadzające status osoby bliskiej”.

Do sprawy odniósł się także sam Karol Nawrocki.

– Jestem strażnikiem konstytucji. Mimo tego, że jestem krytyczny po ponad 30 latach do konstytucji z 1997 roku, to jak regularnie powtarzam, będę strażnikiem tej konstytucji do samego końca mojego albo jej. W tej konstytucji jest wprost zapisane, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny.

Nie podpiszę żadnego prawa, które będzie stanowiło alternatywę dla małżeństwa – stwierdził

zapytany o to, czy podpisze przyjętą w piątek ustawę.

Nawrocki dodał jednak, że ze względu na toczące w Pałacu Prezydenckim rozmowy różnych środowisk, jest gotów podpisać ustawę dotyczącą statusu osoby najbliższej, jeżeli nie będzie ona ideologiczna i nie będzie „stanowiła furtki dla alternatywy małżeństwa i podważania polskiej konstytucji”. – Jeśli znajdziemy rozwiązania, które pomogą osobom w statusie osoby najbliższej na funkcjonowanie formalne, administracyjne, a nie będą niosły ze sobą rozwiązania ideologicznej presji czy próby podważania wyjątkowego statusu małżeństwa, to taką ustawę podpiszę. Mam nadzieję, że taką uda się wypracować – powiedział.

Pytanie, jak długo owe prace potrwać i kto je prowadzi. Nad ustawą o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu politycy koalicji rządzącej pochylali się długie miesiące, bo co tu dużo mówić, ustawa rodziła się w bólach.

Kwestia uregulowania sytuacji osób pozostających w nieformalnych związkach była jedną z kluczowych dla koalicji 15 października. Co więcej, domagają się tego Polacy. Jak wynika z sondażu Opinia24 dla „Faktów” TVN i TVN24, ponad połowa z nas opowiada się za wprowadzeniem związków partnerskich. Sprzeciw wobec tego pomysłu wyraża co trzeci badany. PAP

Katastrofa śmigłowca w Małopolsce. Maszyna rozbiła się na zboczu Lubogoszczy. Zginął pilot

Oprac. Alina Mazurska

Lekki śmigłowiec był poszukiwany wczoraj od godz. 2 w nocy. Przed godz. 8 ratownicy odnaleźli rozbity wrak śmigłowca oraz ciało pilota.

Lekki śmigłowiec Robinson R44 Raven II był poszukiwany od godz. 2 w nocy po tym, jak Polska Agencja Żeglugi Powietrznej zgłosiła utratę łączności z pilotem. Poszukiwania

prowadzono głównie w rejonie Kasiny Wielkiej i Kasiny Małej w powiecie limanowskim, gdzie po raz ostatni zarejestrowano sygnał maszyny.

Przed godz. 8 ratownicy odnaleźli rozbity wrak śmigłowca oraz ciało pilota na zboczu góry Lubogoszcz w Beskidzie Wyspowym.

W akcji uczestniczyli policjanci, strażacy Państwowej Straży Pożarnej i Ochotniczych Straży Pożarnych, ratownicy GOPR oraz grupy poszukiwaw-

cze. Działania prowadzono w trudnych warunkach terenowych i przy ograniczonej widzialności spowodowanej gęstą mgłą.

Według wcześniejszych nieoficjalnych informacji PAP śmigłowiec wykonywał prywatny lot związany z podróżą na Węgry i wracał do Polski.

Helikopter wystartował z Bodrogkisfalud na Węgrzech. Miał wylądować na lotnisku w Zatorze. Ostatni raz radary namierzyły go w okolicach Lu-

bogoszczy w Beskidzie Wyspowym.

Z danych radarowych monitorujących ruch lotniczy wynika, że maszyna była obserwowana przez system ADS-B na wysokości około 850-1000 metrów nad poziomem terenu. Następnie sygnał został nagle utracony.

Okoliczności katastrofy będą wyjaśniać Państwowa Komisja Badania Wypadków Lotniczych oraz prokuratura. PAP

Tragiczne spotkania z rekinami. 19-latka i 11-latek stracili nogi

Marcin Koziestański
Brazylia

19-letnia kobieta straciła nogę w brutalnym ataku rekina na plaży Boa Viagem zaledwie dwa dni po tym, jak w pobliżu został zaatakowany 11-letni chłopiec.

Zaledwie 24 godziny po tym, jak 11-letni chłopiec stracił nogę w ataku rekina w pobliżu Recife w Brazylii, na tym samym odcinku wybrzeża doszło do kolejnego przerażającego incydentu.

1 czerwca 19-letnia Marcela Vitória de Lima Santos została zaatakowana przez rekina podczas kąpieli na plaży Boa Viagem, jednym z najbardziej znanych miejsc ataków rekinów w Brazylii. Według licznych doniesień, podczas ataku rekin odgryzł jej prawą nogę. Przewieziono ją do lokalnego szpitala, a następnie do Hospital da Restauração w Recife, gdzie przeszła pilną operację. Jej stan nadal jest poważny.

W sieci krąży materiał filmowy pokazujący skutki ataku, jednak większość mediów za-

mazała nagranie ze względu na jego drastyczność.

Do zdarzenia doszło dzień po tym, jak 11-letni João Lucas Castor Nemezio Sales został zaatakowany na pobliskiej plaży Piedade. Również stracił nogę, ale jego stan ustabilizował się po pilnej operacji.

Ataki rekinów zdarzają się rzadko na świecie, ale wybrzeże Pernambuco jest jednym z najlepiej udokumentowanych miejsc występowania rekinów. PAP



Rekin zaatakował nastolatkę. To drugi taki przypadek w ciągu doby na tym wybrzeżu

Atak Izraela po ogłoszeniu porozumienia o rozejmie

Oprac. Karolina Wrońska
Liban

Wczoraj Izrael zaatakował południową część Libanu. Stało się to zaledwie kilka godzin po ogłoszeniu w Waszyngtonie porozumienia obu krajów w sprawie zawieszenia broni.

Libańska Narodowa Agencja Informacyjna (NNA) poinformowała o izraelskich atakach dronów wzdłuż dróg w trzech miejscowościach południowego Libanu. AFP przekazała, że co najmniej jeden z nalołów spowodował ofiary, nie sprecyzowała jednak, czy chodzi o zabitych, czy rannych.

Skrajnie prawicowy minister bezpieczeństwa narodowego Izraela Itamar Ben-Gwir nazwał wynegocjowany przy mediacji Waszyngtonu rozejm „poważnym błędem”. Zawieszenie broni jest „złudzeniem doradców, którzy nakładają premiera (Izraela Benjamina Netanjahu) do podejmowania złych decyzji” - napisał w czwartek na portalu X.



Wspierany przez Iran Hezbollah pozostaje poza kontrolą rządu w Bejrucie. Na początku marca grupa włączyła się do wojny USA i Izraela z Iranem, po stronie Teheranu

W oświadczeniu wydanym po dwóch dniach rozmów w Waszyngtonie Izrael i Liban ogłosiły w środę, że „zgodziły się na wdrożenie zawieszenia broni”. Ma być ono uzależnione od całkowitego zaprzestania

Izrael podkreśla, że trwały pokój wymaga rozbrojenia Hezbollahu i likwidacji jego infrastruktury na terytorium całego Libanu

ataków przez proirańską organizację szyicką Hezbollah i wycofania się wszystkich jej bojowników z obszaru na południe od rzeki Litani w Libanie. Strony zgodziły się też na utworzenie „stref pilotażowych”, w których armia libańska przejmie wyłączną kontrolę nad terytorium, odsuwając od niej wszelkie podmioty niepaństwowe.

Izrael podkreślił, że trwały pokój wymaga rozbrojenia Hezbollahu i likwidacji jego infrastruktury na terytorium ca-

łego Libanu. Strona libańska z kolei zadeklarowała wzmocnienie zdolności swoich sił zbrojnych, przy wsparciu USA, w celu objęcia „efektywnej kontroli na całym terytorium kraju”.

Hezbollah zapowiedział we wtorek, że nie zaakceptuje żadnego częściowego zawieszenia broni z Izraelem, a „każda agresja ze strony syjonistycznego wroga wywoła jeszcze silniejszą reakcję” tego ugrupowania.

Doradca przewodniczącego parlamentu Libanu Nabiha Berriego powiedział we wtorek, że głównym żądaniem Berriego pozostaje „kompleksowe zawieszenie broni”, czyli „zaprzestanie nalołów, zładu i morza, oraz brak wyburzeń i zniszczeń” w południowym Libanie. Berri jest liderem szyickiego ruchu Amal, sojusznika Hezbollahu.

Wspierany przez Iran Hezbollah pozostaje poza kontrolą rządu w Bejrucie. Na początku marca grupa włączyła się do wojny USA i Izraela z Iranem, po stronie Teheranu. Izrael odpowiedział operacją zbrojną, zajmując południe Libanu i tworząc tam „strefę buforową”. PAP

WOLNOŚĆ SŁOWA. WARTOŚĆ KLUCZOWA

Wolność słowa każde pokolenie odkrywa na nowo - bo w każdym pokoleniu media są całkowicie inne. Ale jeśli tej kluczowej wartości nie uda się zachować, to zmiany w ekosystemie mediów staną się jedynie pustą formą, bez treści

Agaton Kosiński

W styczniu 1941 r. Franklin D. Roosevelt wygłosił tradycyjne „orędzie o stanie Państwa”. Ale choć amerykańscy prezydenci tego typu mowy głoszą co roku, to tamto wystąpienie nabrało wydźwięku ponadczasowego, uniwersalnego. Dziś jest ono znane jako orędzie „Cztery wolności”. Roosevelt opisywał w nim, jak powinien wyglądać świat po zakończeniu II wojny - bo choć USA wtedy jeszcze nie weszły do globalnego konfliktu (nastąpiło to pod koniec 1941 r.), to już wtedy było wiadomo, że II wojna światowa okaże się punktem zwrotnym w dziejach.

Roosevelt wskazał cztery kluczowe obszary, o które należy dbać: wolność słowa i wypowiedzi, wolność wyznania, wolność od niedostatku, wolność od strachu. Ale na tą pierwszą położył



Medal Wolności Słowa to nagroda wręczana od 2021 r. dla osób zasłużonych w obronie tej kluczowej wartości

najsilniejszy akcent. „Pierwszą z nich jest wolność słowa i wypowiedzi, na całym świecie” - podkreślił.

Dziś wydaje się, że wolność słowa to wartość tak po-

wszechna, że oczywista. Że jest jak powietrze, jak podatki, jak wschód słońca rano - coś, czego nigdy nie zabraknie. Ale to tylko ułudą. „Nasze życie jest ciągłą walką” - mawiał Eurypides. Do-

tyczy to także wolności słowa. Uda się ją zachować tylko wtedy, gdy ciągle będzie miała własnych rzeczników gotowych jej bronić.

Bronić przed czym? Choćby przed błyskawicznymi zmianami zachodzącymi w naszej rzeczywistości. Wolność słowa jest wartością zagwarantowaną w polskiej konstytucji. Ale przyjrzyjmy się bliżej zapisom artykułu 54.:

„1. Każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji.

2. Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane. Ustawa może wprowadzić obowiązek uprzedniego uzyskania koncesji na prowadzenie stacji radiowej lub telewizyjnej”.

Od razu widać lukę w zapisach konstytucyjnych - bo w za-

den sposób nie obejmuje ona internetu. Teoretycznie rzecz biorąc media cyfrowe nie mają zagwarantowane ochrony w konstytucji. Oczywiście, to konsekwencja chwili stworzenia ustawy zasadniczej, wtedy internetu zwyczajnie nie było. Ale już choćby to pokazuje, jak wolność słowa potrafi być ulotna.

Media zawsze idą na przódzie wszelkich zmian. To środowisko

szalenie dynamicznie, wyznaczające standardy zmian na świecie. Tak się działo zawsze, tak też jest teraz w czasach rewolucji cyfrowej. Ale bez zapewnienia fundamentu, jakim jest wolność słowa, ta zmiana będzie tylko pustą formą pozbawioną treści. Jeśli ta kluczowa dla demokracji wolność ma zostać zachowana, trzeba o nią dbać w każdym pokoleniu.

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

Wskazań kandydatów do uhonorowania Medalem Wolności Słowa można dokonywać poprzez wypełnienie formularza zgłoszeniowego na stronie internetowej <https://medal.fundacja-grandpress.pl>. Kandydatów mogą zgła-

szać:
• kolegia redakcyjne mediów
• władze organizacji pozarządowych, fundacji i stowarzyszeń
• pełnoletni obywatele Polski
Zgłoszenia przyjmowane są do 12 czerwca.

tygodnik Regionów

Piątek, 5.06.2026

KOSZALIN

Kiedys podzielili Kościół katolicki, dziś są na witrażach w katolickiej świątyni. Marcin Luter i Filip Melanchton w koszalińskiej katedrze **str. 12**

WSPARCIE

Po sukcesie pierwszego challenge Łatwoganga na rzecz dzieci chorych onkologicznie, wielu ludzi zaczęło zgłaszać się do Piotrka Hanckiego o pomoc **str. 13**



Duży Fiat, Syrena, Polonez, SHL, WSK. U pana Grzegorza do wyboru, do koloru

Grzegorz Ćwikliński ze Sławna remontuje hobbystycznie motocykle i samochody z czasów PRL. Ma m.in.: dwa Duże Fiaty, dwa Polonezy, Syrenę, SHL-kę, WSK-ę. **str. 10 - 11**

Duży i mały Fiat, Syrena, Polonez, SHL, WSK. Do wyboru, do koloru

Tomasz Turczyn
Region

Grzegorz Ćwikliński ze Sławna remontuje hobbystycznie motocykle i samochody z czasów PRL. I dzięki temu zgromadził ich kolekcję. Ma m.in.: dwa Duże Fiaty, dwa Polonezy, Syrenę, SHL-kę, WSK-ę. Aktualnie przywraca do życia Małego Fiata.

Daje drugie życie autom i motorom PRL

- Mam 73 lata i jestem emerytowanym budowlancem. A to oznacza, że wolnego czasu mam pod dostatkiem. Od zawsze moją pasją była motoryzacja z okresu PRL. Czuję do niej ogromny sentyment, gdyż to moja młodość - mówi Grzegorz Ćwikliński ze Sławna. - Od kilku lat przywracam do życia samochody i motocykle z czasów PRL, a później na przykład jeżdżę nimi na zloty takich pojazdów. Wszędzie budzą zaciekawienie i ludzie chętnie się na ich tle fotografują.

Sławnianin mówi, że ma garaż - warsztat na terenie gminy Postomino. Odwiedziliśmy to miejsce. Tam zaprezentował swoje maszyny (robiąc ich dodatkowy ogłód przed sezonem letnich zlotów) z, których jest ogromnie dumny. To: dwa Polonezy, dwa Duże Fiaty, Syrena, motocykle m.in. SHL, WSK.

- Ciekawostką jest motor marki Iż. To rosyjski motocykl produkowany w latach 1933 aż do 2008 roku. Nazwa Iż jest od jednej z rosyjskich rzek - mówi Grzegorz Ćwikliński. - Aktualnie przywracam do życia Małego Fiata i już jestem zadowolony, bo widać efekt mojej pracy. Auto jest o tyle nietypowe, że kupiłem je z szyberdachem. W planach mam do odrestaurowania kolejnych motocykli. A wyremontowałem już: WSK-ę z 1970 roku. WSK to marka polskich motocykli produkowanych w latach: 1955-1985 przez Wytwórnię Sprzętu Komunikacyjnego PZL w Świdniku. Kolejno Panonię z 1954 roku. To z kolei marka węgierskich motocykli, które były produkowane w zakładach Csepel w Budapeszcie w latach: 1954-1975. Trzeci z motocykli to WFM z 1954



roku. To motocykl produkowany przez Warszawską Fabrykę Motocykli w latach 1954-1966.

Trzeba mieć smykałkę

Pan Grzegorz nie ukrywa, że przy takim remontowaniu aut PRL lub motocykli trzeba być tzw. złotą rączką.

- Muszę się znać na mechanice, ale i również na blacharce. Czasami trzeba coś pospawać lub wyprostować. Musiałem nauczyć się też lakiernictwa samochodowego - opisuje. - A przede wszystkim trzeba mieć oryginalne części do takich pojazdów. Te kupuję, gdzie się da. Czasami aż się nie chce wierzyć, co ludzie przechowują w garażach czy piwnicach i w jakim to jest bardzo dobrym stanie. Czasami jakiejś części nie udaje się dokupić i wówczas staram się doposażać zamiennik. Bywa tak, że



FOT. TOMASZ TURCZYN

FOT. TOMASZ TURCZYN



FOT. TOMASZ TURCZYN



FOT. TOMASZ TURCZYN

dane auto lub motor remontuję kilka miesięcy. Robię to z przerwami. Do garażu-warsztatu idę, gdy mam na to ochotę. Najbardziej cieszy mnie efekt końcowy, gdy auto jest gotowe do jazdy. Oczywiście daję je na przegląd i reje-

struję, opłacając obowiązkowe ubezpieczenie. Nie ukrywam, że lubię przejażdżki takimi pojazdami. Sądzę też, że trzeba mieć smykałkę do takich remontów. I nie ukrywam, że uważam, że finalnie wszystko nieźle mi wychodzi.

Ciężko się rozstać

Pan Grzegorz mówi, że nie chce się rozstawać ze swoimi samochodami i motocyklami. Nie potrafi tego zrobić, choć wie, że można za nie uzyskać nieźle sumki finansowe.
- Jednego Dużego Fiata po-

darowałem wnukowi na 18. urodziny i bardzo spodobał mu się taki prezent. Cieszę się, że młode pokolenie docenia takie perełki motoryzacyjne. Czasami jedziemy w dwa Duże Fiaty na złot takich aut. Czasami jadę sam na przejażdżkę

po Sławnie i okolicy - dodaje. - Wciąż sprawia mi to ogromną frajdę.

Czasy kartek i talonów na auta

PRL - Polska Rzeczpospolita Ludowa istniała w latach 1944-

1989 i to okres, gdy Polska była w bloku państw komunistycznych. Czyli było w strefie wpływów ZSRR. To były czasy pustek na półkach sklepowych, kartek żywnościowych i talonów na zakup samochodów.
© ©

AUTOREKLAMA

0111521052



Forum Dostawców
Przemysłu Energetycznego
i Obronnego
Rzeszów 2026

**Już 15 czerwca w Rzeszowie
Forum Dostawców Przemysłu
Energetycznego i Obronnego**

**Twoja firma może stać się
dostawcą w przemyśle
energetycznym i obronnym.
Wielkie inwestycje czekają
także na Ciebie.**

TEMATY PANELI:

- Biliony do wydania – jak zatrzymać kapitał w Polsce?
- Finansowanie projektów strategicznych
- Transformacja energetyczna jako szansa dla polskich firm
- Polski przemysł zbrojeniowy – od podwykonawcy do integratora

Zapisz się już dziś!

energiazpolski.pl

Udział bezpłatny.
Liczba miejsc ograniczona.

ORGANIZATOR

POLSKA PRESS GRUPA

PATRONAT MEDIALNY

**strefa
BIZNESU.pl**

PATRONAT HONOROWY



Kiedyś podzielili kościół, dziś są na witrażach w katolickiej świątyni



Witraż z Marcinem Lutrem w koszalińskiej katedrze jest za głównym ołtarzem, po lewej stronie

Piotr Polechoński
Koszalin

Czy można w katolickiej świątyni zobaczyć Marcina Lutra, twórcę reformacji, który doprowadził do podziału Kościoła i powstania protestantyzmu? Można. W koszalińskiej katedrze. Lutrowi towarzyszy jego bliski współpracownik.

Można być tu setki razy i nie zwrócić na to uwagi. Tymczasem pośród kilku witraży, które znajdują się w katedrze, są dwa szczególnie interesujące, a zwłaszcza jeden z nich. Otóż jak się mu dobrze przyjrzymy, a znamy podobizny Marcina

Lutra, to trudno oprzeć się wrażeniu, że w najważniejszym kościele katolickim w regionie koszalińskim, na eksponowanym miejscu, znajduje się właśnie on: człowiek, który w pierwszej połowie XV wieku zerwał z katolicyzmem i doprowadził do jednego z największych rozłamów w świecie chrześcijańskim.

- Rzeczywiście, to Marcin Luter - potwierdza Danuta Szewczyk, historyk z Koszalina. - Zresztą, nie jest on jedynym reprezentantem religijnego nurtu, który stworzył. Naprzeciw niego, na drugim witrażu, jest jego bliski współpracownik i współtwórca reformacji, Filip Melanchton - dodaje.

Dlaczego obaj trafili na witraże w katolickiej świątyni?

- Pamiętajmy, że kościół ten przez kilkadziesiąt lat był kościołem protestanckim i dopiero w 1945 roku ponownie stał się świątynią katolicką. Obaj reformatory na witraże trafili na przełomie lat 1914 - 1915, podczas kolejnej modernizacji koszalińskiego kościoła mariackiego - opowiada Danuta Szewczyk. Wtedy też uzbierano pieniądze na nowe witraże i zdecydowano, kto na nich będzie (na pozostałych witrażach umieszczono sceny biblijne).

Po wojnie katedrę przejęli polscy katolicy. Władze Kościoła katolickiego wykazały się wielką mądrością, tolerancją



Dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie, z innego witraża spogląda Filip Melanchton, przyjaciel Lutra i współtwórca reformacji

oraz wrażliwością na sakralną sztukę i nikt nigdy nie próbował usunąć z witraży żadnego z obu wizerunków. Znana jest nawet zabawna anegdota z tym związana. Otóż pewnego dnia jedna z modlących się w kościele kobiet zaczęła przecho-
dzącego biskupa Ignacego Jeża, ówczesnego ordynariusza koszalińsko-kołobrzeskiego. Zapytała go, wskazując na Mar-

Po wojnie katedrę przejęli polscy katolicy. Władze Kościoła katolickiego nie usunęły z witraży żadnego z obu wizerunków

cina Lutra, którego ze świętych jest to podobizna?

- No, może święty to on jeszcze nie jest, ale że codziennie jest na mszy świętej to jest nadzieja, że tak się stanie - z uśmiechem odparł ksiądz biskup

Kluczowe postacie Reformacji

Marcin Luter (1483-1546): Główny inicjator Reformacji. W 1517 roku ogłosił 95 tez, sprzeciwiając się sprzedaży odpustów. To on przetłumaczył Biblię na język niemiecki, był teologiem o silnym, pełnym pasji usposobieniu, kładącym nacisk na zbawienie przez wiarę (zasada sola fide).

Filip Melanchton (1497-1560): Prawa ręka Lutra i najwybitniejszy intelektualista tamtego okresu, nazywany „nauczycielem Niemiec”. Był humanistą, filozofem i pierwszym systematycznym teologiem luteranizmu. To on nauczył Lutra greki i przekonał go do tłumaczenia Pisma Świętego.

Główne dzieło

Ich wspólnym i najważniejszym osiągnięciem było stworzenie Wyznania augsburskiego (Confessio Augustana) w 1530 roku. Jest to główna księga wyznaniowa luteranizmu, której autorem był Melanchton, w pełni zaaprobowana przez Lutra

Wierzymy, że Maksiu zagra kiedyś w piłkę nożną

Piotr Samolewicz
Zbliżenia

Po tym, jak influencer Łatwogang zebrał 12 mln zł na pomoc 8-letniemu Maksiu, choremu na genetyczną chorobę dystrofii mięśni, w życiu jego rodziny pojawiło się światło nadziei. Chłopiec będzie mógł przejść nowatorską terapię genową w Stanach Zjednoczonych

Po sukcesie pierwszego challenge'u (ang. wyzwania) Łatwoganga na rzecz dzieci chorych onkologicznie, wielu ludzi zaczęło zgłaszać się do Piotra Hanckiego o pomoc, także rodzice Maksymiliana, Anna i Robert Toccy ze wsi Dziurdziów koło Leska na Podkarpaciu. Za ledwie na kilka dni przed planowaną akcją Łatwoganga dowiedzieli się, że chce on przejechać na rowerze bez snu z Zakopanego do Gdańska w celu zebrania pieniędzy na leczenie ich synka.

- Na życzenie Piotra akcja była utrzymywana do końca w tajemnicy. Bo nie było wiadomo, czy uda się ją „spisać” organizacyjnie - mówi mama Maksymiliana.

Państwo Toccy zegnali influencera w piątek, 22 maja w Zakopanem. Potem cała rodzina pojechała samochodem do Gdańska.

- Nie wyobrażaliśmy sobie, że może nas nie być w Gdańsku i mu nie podziękować za to, co dla nas zrobił.

Piotr Hancke pokonał ok. 660 km w 52 godziny. Jego wyczyn był transmitowany w sieci, im bardziej zmniejszał się dystans do Gdańska, tym więcej ludzi wpłacało pieniądze na pomoc dla Maksa, a później też dla drugiego chłopca, Adasia.

Piotra Hanckiego witaly tłumy

- Z Piotrkim spotkaliśmy się na stacji paliw przed Gdańskiem. Już na niej były tłumy. Ludzie czekali na niego przy drogach, witali transparentami i flagami. Najwięcej ludzi powitało go w mieście: dzieci, motocykliści, rowerzyści. Wszyscy podążali za autobusem, w którym jechał Piotrek i jego ekipa. Miało się wrażenie, jakby ludzie witali jakąś sławę, bohatera. Zresztą nie ma

co ukrywać, że Łatwogang jest bohaterem - mówi pani Anna.

- Zwierzył nam się, że miał już takie momenty, że czuł się naprawdę słaby, szczególnie w ostatnią noc przed finałem przed stadionem Arena w Gdańsku. Ale dał radę, jego wyczyn jest nie do opisania. Na stacji paliw, na której spotkaliśmy się, widzieliśmy, że jest słaby, tymczasem to on się nas pytał, jak my się czujemy. „U mnie wszystko jest OK” - mówił. Niesamowity człowiek! Myślę, że witający go ludzie na finale w Gdańsku, krzyczący i machający, dodali mu energii. Wszyscy zaśpiewali mu „Sto lat!”.

We wtorek, 26 maja Łatwogang oświadczył, że dla Maksa i Adasia zebrał 15,5 mln zł. Pieniądze nadal wpływają, ale nie pomogą wszystkim dzieciom w Polsce chorym na dystrofię mięśni Duchenne'a (DMD). Dlatego streamer zaapelował do premiera i prezydenta, by działając ponad politycznymi podziałami - obniżyli w Polsce olbrzymie koszty leczenia tej choroby.

Akcja Piotra Hanckiego przyniosła na leczenie Maksa 12 mln zł, 3 mln zł pochodzi z lokalnych charytatywnych akcji w Bieszczadach. Suma pozwoli na przeprowadzenie genowej terapii Maksa w klinice w Bostonie. Szczegóły badań chłopca i operacji będą dopiero ustalane.

- Terapia ta została wprowadzona w USA kilka lat temu. Poprzedziły ją lata badań. Najpierw była stosowana tylko w przypadku dzieci do 4. roku życia. Potem trwały badania, by ją rozszerzyć na starsze. To jest jedyna rzecz, która daje nam nadzieję. Nie mamy innego wyboru. Lek zostanie podany dożylnie. Pobyt w klinice będzie trwał 3 miesiące. Przed i po aplikacji leku będzie monitorowane serce i wątroba dziecka - wyznaje Anna Tocka. Mocno wierzy w to, że operacja uda się i syn będzie mógł zagrać w ukochaną piłkę nożną.

Maksymilian daje siły rodzicom

8-letni Maksymilian jest jedynym i długo wyczekiwany dzieckiem państwa Tockich. „Przez cały okres ciąży, a także po narodzinach, żadne wyniki badań nie wskazywały na to, że nasz syn może być tak poważnie chory. O jego chorobie do-



Burmistrz Leska Adam Snarski (obok Maksa) i jego urzędnicy założyli teatr, a dochód z granych przez siebie spektakli przeznaczyli na pomoc chłopcu

wiedzieliśmy się zupełnie przypadkowo. Podczas pobytu w szpitalu związanego z infekcją Maksa, zostały wykonane rutynowe badania, których wyniki okazały się mocno niepokojące. Zalecone później badania genetyczne potwierdziły tę straszną chorobę...” - piszą rodzice na stronie fundacji siepomaga.pl, na której w październiku 2025 roku założyli zbiórkę na pomoc synkowi.

Gdy mama Maksa dowiedziała się, że jej synek jest poważnie chory, zrezygnowała z pracy, by poświęcić mu więcej czasu (mąż pracuje w branży budowlanej). W tej chorobie ważne jest, by utrzymać sprawność fizyczną w celu zachowania mięśni. Kilka razy w tygodniu chłopiec ma zajęcia rehabilitacyjne i fizjoterapeutyczne, rodzice zabierają go też na basen. Mało tego, także w domu trzeba z nim codziennie ćwiczyć.

Od założenia zbiórki w 2025 roku życie rodziny radykalnie się zmieniło. Wszyscy włączyli się w gminie Lesko i w innych miejscowościach w organizo-

wanie pikników i innych wydarzeń. Rozdzwoniły się telefony, Toccy zaczęli jeździć na różne spotkania i współorganizować imprezy, pomagali nawet piec ciasta.

Spółeczna mobilizacja w Bieszczadach

Największym pomocowym wydarzeniem w Bieszczadach okazał się styczniowy koncert w Lesku „Bieszczady dla Maksa na MAXA”, na którym udało zebrać się ok. 230 tys. zł. W organizację koncertu było zaangażowanych mnóstwo ludzi. Odbywały się też mniejsze koncerty w Bieszczadzkim Domu Kultury w Lesku, pikniki charytatywne w wielu miejscowościach.

Historia Maksa zainspirowała burmistrza Leska Adama Snarskiego i jego urzędników do założenia nieprofesjonalnego Teatru Urzędowego bez Renomy. Swoją prywatny czas poświęcili na próby i wystawienie napisanej przez siebie sztuki zatytułowanej „GEN:END”. Zagrała w niej m.in. Katarzyna Dzięńska.

- Stworzyliśmy offowy, plastyczny spektakl z pytaniami, kto decyduje o tym, że jedni rodzą się zdrowi, inni chorzy, że jedni rodzą się w rodzinach bogatych, a inni w biednych. W Lesku wystawiliśmy spektakl trzy razy przy pełnej sali i zebrałmy ponad 18 tys. zł - mówi.

Maks marzy o spotkaniu z Robertem Lewandowskim

Maks uczy się w Zespole Szkół Samorządowych w Hoczwi, gdzie jest życzliwie traktowany. Gdy nie mógł zagrać na WF w piłkę nożną, nauczyciel wręczył mu gwizdek, by się dziował. W ten sposób wyróżnił chłopca, który jest wielkim fanem piłki. Uwielbia Roberta Lewandowskiego, jego marzeniem jest spotkać się z idolem.

- Jak większość chłopców w tym wieku marzy, by zostać piłkarzem. Cały pokój ma obwieszony plakatami, zbiera karty piłkarskie, piłki, na prezent zawsze coś dostaje związanego z tą dyscypliną sportu. Jest w tym wszystkim rado-

snym dzieckiem. Gdy spotyka się ze starszym o rok kuzynem, przebierają się w stroje piłkarskie i razem kopią piłkę, Maksiu oczywiście na tyle, na ile może, bo zna swoje ograniczenia - opowiada mama.

Maks należy do scholi kościelnej. Starsi członkowie scholi traktują go jak młodszego brata. Ładnie też czyta i inteligentnie wyraża się.

- Naszym rytuałem było czytanie Maksowi przed snem jakiejś książki. Stąd ma bogatą biblioteczkę. Cały czas dostaje nowe książki, wybór od nowinek kosmicznych, technologicznych, po historię. Bardzo lubi historię Polski, od Piastów po współczesną. Czyta też książki o historii świata i geograficzne. Pomagamy mu w rozwoju jego pasji.

Rodzice Maksa czerpią siły do walki o jego zdrowie od niego samego.

- Cieszymy się, że znalazł się ktoś taki jak Piotrek Hancko i że mu się udało. Nie zapominamy też o mieszkańcach Bieszczadów, którzy pokazali wielkie serce. Nie było instytucji i człowieka, które by nie dołożyły swoje cegiełki, były challenge strażackie, także koła gospodyń wiejskich organizowały swoje wydarzenia. Przyjdzie jeszcze czas, by podziękować tym wszystkim ludziom. Dzięki nim zgromadziliśmy w Bieszczadach aż 3 mln złotych - mówi Anna Tocka.

Choroba dotyka głównie chłopców

Dr n. med. Katarzyna Skórka pisze na chorobyrzadkie.edu.pl, że dystrofia mięśniowa Duchenne'a (DMD) to choroba genetyczna charakteryzująca się postępującą degeneracją i osłabieniem mięśni powodującą zmian w białku zwanym dystrofina. Choroba dotyka głównie chłopców, ale w rzadkich przypadkach może wystąpić u dziewczynek. W ostatnich latach pojawiły się nowe terapie działające przyczynowo. To Ataluren oraz Exondys 51, które działają na poziomie mRNA i mają na celu poprawienie produkcji dystrofiny, co jest kluczowe w leczeniu dystrofii mięśniowej Duchenne'a. W Polsce Ataluren nie jest refundowany. Jak pisze doktor Katarzyna Skórka, wciąż trwają badania nad nowymi terapiami genowymi.

FOT. ARCHIWUM RODZINY TOCKICH

Fenomen tego miejsca rodzi się z ludzkiego cierpienia

Milena Zatylna
Religia

W niewielkim Głębinowie pod Nysą dzieje się coś, co sprawia, że raz w miesiącu spokojna śląska wieś zmienia się w oblegane miejsce, do którego zdążają pielgrzymi z bliska i z daleka. Już kilka godzin przed nabożeństwem samochody ustawiają się w długich rzędach. Ludzie idą pieszo poboczem drogi, wielu trzyma w dłoniach czerwone róże

Jedni przyjeżdżają w ciszy, inni płaczą jeszcze przed wejściem do kościoła. Wśród pielgrzymów są młode małżeństwa, starsze kobiety, rodzice ciężko chorych dzieci, ludzie po rozwodach, po stratach, po życiowych katastrofach.

Przyjeżdżają tutaj z tym, czego już nie potrafią udźwignąć sami.

I właśnie w Głębinowie – w małym kościółku, który przed laty miał zostać zburzony przy budowie Jeziora Nyskiego – szukają ratunku.

Bo Święta Rita, patronka spraw trudnych i beznadziejnych, sprawiła, że ta niewielka miejscowość stała się jednym z najważniejszych miejsc jej kultu w Polsce – obok Kościoła św. Katarzyny Aleksandryjskiej w Krakowie i sanktuarium w Nowym Sączu.

Jeszcze kilkanaście lat temu niewiele osób słyszało o Głębinowie. To zmieniło się pięć lat temu. 22 maja 2021 r. decyzją opolskiego biskupa, w Głębinowie ustanowione zostało diecezjalne sanktuarium św. Rity.

Dziś każdego 22. dnia miesiąca wokół sanktuarium trudno znaleźć miejsce do zaparkowania. Kościół pęka w szwach, a plac przy świątyni jest wypełniony po brzegi. Pątnicy trzymają w rękach róże – czerwone, białe, herbaciane, które są symbolem Świętej Rity. Zapach tysięcy kwiatów roznosi się wokół.

Fenomen tego miejsca rodzi się z ludzkiego cierpienia, z tajemnic bolesnych naszego życia – mówi ksiądz Przemysław Seń, kustosz sanktuarium. Ludzie przychodzą tutaj z historiami, których często nie mają już siły nikomu opowiadać. Choroby, rozpadające się małżeństwa, uzależnienia, samotność, dramaty rodzinne. To



Przyjeżdżają tutaj z tym, czego już nie potrafią udźwignąć sami

wszystko powierzają w modlitwach.

Duchowny przyznaje, że najbardziej poruszające są chwile po nabożeństwach.

Problem często nie znika od razu, ale widać zmianę na ludzkich twarzach. Wchodzą smutni, przygnieci, a wychodzą z nadzieją. Jakby ktoś zabrał z ich serca część ciężaru.

Ta nadzieja ma twarz świętej, która sama doświadczyła niemal wszystkiego, co może złamać człowieka.

Kim była święta od spraw beznadziejnych?

Święta Rita urodziła się pod koniec XIV wieku we włoskiej Roccapiorenie. Już jako dziewczynka marzyła o życiu zakonnym, ale rodzice zdecydowali inaczej – wydali ją za mąż. Jej mąż był człowiekiem gwałtownym i porywczym, uwikłanym w konflikty i przemoc. Rita przez lata doświadczała cierpienia, jednak nie odpowiadała na nie nienawiścią. Modliła się o przemianę małżonka. I doczekała jej. Tuż przed śmiercią jej mąż pojednał się z Bogiem.

Później Rita przeżyła kolejną tragedię – śmierć swoich synów. Wówczas postanowiła poświęcić swoje życie Bogu, wstąpiła do klasztoru augustianek w Cascii.

Była cichą i pokorną mniszką. Dnie spędzała na modlitwie i pokucie. Według przekazów otrzymała stygmat rany na czole, jakby ciernia z korony Chrystusa. Zmarła 22 maja 1450 roku.

Do dziś wierni na całym świecie modlą się do niej wtedy, gdy po ludzku nie widzą już wyjścia.

Rita jest świętą bardzo bliską współczesnemu człowiekowi – mówi ksiądz Paweł Chyla, współautor książek poświęconych sanktuarium w Głębinowie. – Nie była kimś

odległym. Każdy może się z nią utożsamiać i znaleźć w niej swoją orędowniczkę. Była żoną, matką, wdową. Doświadczyła przemocy, straty, cierpienia. Ludzie odnajdują w niej swoje życie. Widzą kobietę, która mimo dramatów się nie poddała.

To właśnie dlatego do Głębinowa przyjeżdżają tłumy.

Na kartkach składanych przed figurą Świętej Rity zapisane są najbardziej intymne ludzkie dramaty.

„Pomóż uratować moje małżeństwo”. „Spraw, żeby córka wygrała z rakiem”. „Błagam o dziecko”. „Nie mam już siły żyć”. „Uwolnij mnie od alkoholu”.

– Tych spraw trudnych jest dziś ogrom – mówi ksiądz Paweł Chyla. – Ludzie mają poczucie, że wyczerpali wszystkie możliwości. I wtedy przyjeżdżają tutaj.

Wielu wraca.

Jedną z takich osób jest pan Leszek. Pierwszy raz pojawił się w Głębinowie kilka lat temu, modląc się za znajomą chorą na nowotwór.

– Lekarze nie dawali koleżance wielkich szans – wspomina. – Przyjechałem tutaj w wielkim strapieniu, po cud. Dziś koleżanka żyje, pracuje, wszystko jest dobrze. Dla mnie to był moment przełomowy. Od tamtej pory jest w Głębinowie regularnie. – Człowiek przyjedzie tutaj raz i chce wracać. Jest w tym

Przed śmiercią Rita pragnęła zobaczyć w ogrodzie żywą różę. Wszystkie róże przed klasztorem zakwitły, choć wokół leżał śnieg

miejsu coś niezwykłego. Modlił się o zdrowie, o rodzinę, o nawrócenie syna. I powoli wszystko zaczęło się układać. Nie nagle, nie spektakularnie. Raczej krok po kroku. Jakby Święta Rita uczyła człowieka cierpliwości i zaufania. Kiedy po ludzku wszystko się kończy, zostaje jeszcze ona.

Takich opowieści można tutaj usłyszeć setki.

Ksiądz Przemysław Seń szczególnie pamięta historię małej Hani.

- Po porodzie rokowania były bardzo złe. Wszystko wskazywało na to, że dziewczynka może nie przeżyć. Rodzice modlili się tutaj o jej życie. Dziś Hania żyje i ma się dobrze. A Świętą Ritę nazywa swoją ciocią - opowiada duchowny.

W sanktuarium często mówi się także o uzdrowieniach z chorób nowotworowych, ocalonych małżeństwach i narodzinach długo wyczekiwanych dzieci.

W podziękowaniu wierni zostawiają świadectwa, róże i wota wdzięczności.

To właśnie dzięki takim świadectwom kult Świętej Rity w Głębinowie rozrastał się błyskawicznie.

Bo sanktuarium nie powstało wokół objawień ani wielowiekowej legendy. Narodziło się z potrzeby zwykłych ludzi.

Jesienią 2014 roku grupa parafian poprosiła księdza Przemysława o odprawienie nabożeństwa ku czci Świętej Rity. Sami modlili się wcześniej prywatnie do patronki spraw beznadziejnych i chcieli robić to wspólnie. 22 listopada 2014 roku odbyło się pierwsze nabożeństwo.

Nikt wtedy nie przypuszczał, że rozpoczyna się historia miejsca, do którego będą przyjeżdżać tysiące pielgrzymów.

- Wielu ludzi zaczęło mówić o wysłuchanych modlitwach. Wieść rozchodziła się błyskawicznie - wspomina pan Franciszek. - Jedni opowiadali drugim. I tak zaczęły przybywać tłumy. Sam również doświadczyłem wielu łask za wstawieniem Świętej Rity. Czuję jej pomoc w codziennym życiu.

Zaledwie pół roku po pierwszym nabożeństwie do Głębinowa sprowadzono relikwie pierwszego stopnia - fragment tuniki, w której Święta Rita została pochowana. To był moment przełomowy dla rozwijającego się kultu.

Potem wydarzenia potoczyły się bardzo szybko.

Powstał nowy ołtarz, pojawiła się figura Świętej Rity ufundowana przez wiernych

jako wotum wdzięczności za otrzymane łaski. Ludzi przybywało z miesiąca na miesiąc. W końcu, pięć lat temu, 23 maja 2021 roku, biskup Andrzej Cząja ustanowił w Głębinowie oficjalne sanktuarium diecezjalne Świętej Rity.

- Biskup powiedział wtedy, że to miejsce ma być duchową oazą i schronieniem dla ludzi - przypomina ksiądz Przemysław Seń. - I rzeczywiście takim się stało.

Dzisiaj przyjeżdżają tu pielgrzymi z całej Polski, a nawet z zagranicy. Wielu z nich wraca każdego miesiąca.

Wśród wiernych jest także Zuzanna Kreczmar. Jej historia również wiąże się z chorobą.

- Mój syn miał nowotwór mózgu - mówi. - Modliliśmy się żarliwie o jego uzdrowienie i zostaliśmy wysłuchani. Dlatego opowiadam ludziom o Świętej Ricie. Chcę, żeby wiedzieli, że naprawdę można tutaj odzyskać nadzieję. Rita i to sanktuarium są dobrodziejstwami, z których powinniśmy korzystać.

Zdaniem księdza Pawła Chyli właśnie w tym tkwi sekret fenomenu Świętej Rity.

- Żyjemy w świecie ogromnego lęku i samotności. Ludzie często nie mają już gdzie szukać ratunku. Rita pokazuje, że nawet najbardziej pokrzyżowane życie może stać się drogą do dobra.

I może dlatego Głębinów działa na pielgrzymów tak mocno.

To miejsce jest proste, niewielkie, pozbawione przepychu. Nie ma tu monumentalnych bazylik ani wielkich placów. Jest mały neogotycki kościół nad wodą, szum jeziora i róże przynoszone przez ludzi.

A jednak właśnie tutaj wielu odzyskuje spokój.

- Ośmielę się nazwać to miejsce skrawkiem nieba na ziemi - mówi ksiądz Paweł. - Tym bardziej, że ten kościółek miał kiedyś zostać zburzony przy okazji budowy Jeziora Nyskiego. Trudno dziś sobie wyobrazić, że mogłoby go nie być.

To chyba najbardziej symboliczne w historii Głębinowa. Świątynia, która miała zniknąć, stała się miejscem, z którego płynie ogrom dobra.

Kiedy nabożeństwo dobiega końca, ludzie długo jeszcze zostają w ławkach. Niektórzy siedzą w ciszy z zamkniętymi oczami. Inni klęczą przed figurą świętej. Ktoś dotyka relikwiarza, bo głęboko wierzy w to, że tutaj Rita jest na wyciągnięcie ręki. Ktoś ociera łzy. Ktoś ścisną różę tak mocno, jakby była ostatnią rzeczą, której może się uchwycić.

Powoli zapada zmrok. Jezioro Nyskie cichnie. Pielgrzymi wracają do swoich domów, do chorób, udręk, codziennych zmagania. Ale wielu z nich wyjeżdża stąd z czymś, czego wcześniej już prawie nie mieli.

Z nadzieją.



Święta Rita sprawiła, że ta niewielka miejscowość stała się jednym z najważniejszych miejsc jej kultu w Polsce



Ludzie odnajdują w niej swoje życie. Widzą kobietę, która mimo dramatów się nie poddała



W sanktuarium często mówi się o uzdrowieniach z chorób i narodzinach długo wyczekiwanych dzieci

Myślała, że umrze od jednego pieprzyka

Agnieszka Domanowska
Rozmowa

Jeszcze kilka lat temu bagatelizowała badanie znamion, choć wiedziała, że należy do grupy ryzyka. Jasna karnacja, niebieskie oczy i liczne „pieprzyki” od dawna powinny skłonić ją do regularnych kontroli. Wszystko zmienił niewielki strupek na nodze, który okazał się czerniakiem złośliwym trzeciego stopnia. Dziś Emilia Rukścińska z Augustowa nie tylko regularnie się bada, ale też pomaga innym przełamać strach przed wizytą u specjalisty

Jak trafiła pani do Białostockiego Centrum Onkologii?

Cztery lata temu zdiagnozowano u mnie czerniaka złośliwego trzeciego stopnia. To bardzo złośliwy nowotwór, który rozwija się szybko i potrafi długo nie dawać wyraźnych objawów. Są cztery stopnie zaawansowania tej choroby, u mnie był trzeci, więc już wtedy wiadomo było, że sytuacja jest poważna. Trafiłam do Białostockiego Centrum Onkologii po tym, jak jedna ze zmian skórnych zaczęła mnie bardzo niepokoić. Wcześniej oczywiście słyszałam o czerniaku, wiedziałam mniej więcej, jak groźna to choroba, ale człowiek zawsze ma nadzieję, że jego to nie spotka. Dopiero kiedy usłyszałam diagnozę, dotarło do mnie, jak cienka jest granica między zwykłym „pieprzykiem” a nowotworem.

Co panią zaniepokoiło?

Mam bardzo jasną cerę i ogromną ilość znamion. Jestem typową blondynką z niebieskimi oczami i jasną karnacją, czyli osobą, która znajduje się w grupie podwyższonego ryzyka zachorowania na czerniaka. Na jednym ze znamion, na lewym udzie, zaczął pojawiać się strupek. Na początku nie wyglądało to bardzo groźnie. Strupek się zagoił, więc uznałam, że może po prostu się o coś zahaczyłam albo podrażniłam skórę. Ale po kilku tygodniach zmiana pojawiła się ponownie. I właśnie to było dla mnie alarmujące. Pomyślałam, że skoro coś wraca i nie chce się zagoić, to nie można tego dalej ignorować. Dzisiaj wiem, że organizm często daje wcześniej sygnały ostrzegawcze, tylko trzeba umieć ich nie lekceważyć.

I wtedy zgłosiła się pani do lekarza?

Tak. To był właściwie zbieg okoliczności, ale bardzo szczęśliwy. W tym samym czasie Białostockie Centrum Onkologii prowadziło program profilaktyczny związany z miesiącem świadomości czerniaka. Udało mi się zapisać do chirurga-onkologa praktycznie od razu, w ciągu tygodnia. Pamiętam, że bardzo się wtedy stresowałam, ale jednocześnie czułam ulgę, że ktoś to w końcu obejrzy profesjonalnie. Lekarz już podczas wizyty powiedział, że ta zmiana mu się nie podoba. To był moment, kiedy pierwszy raz naprawdę się przestraszyłam. Wcześniej jeszcze próbowałam sobie tłumaczyć, że może przesadzam, ale kiedy specjalista od razu kieruje na dalszą diagnostykę, człowiek zaczyna rozumieć, że sprawa może być poważna. Zostałam skierowana na histopatologię i wtedy zaczęło się czekanie.

Jak wyglądało oczekiwanie na wynik?

To był bardzo trudny czas psychicznie. Człowiek z jednej strony próbuje żyć normalnie, chodzi do pracy, zajmuje się domem, rodziną, ale z tyłu głowy cały czas ma pytanie: „a co, jeśli to rak?”. Po około trzech albo czterech tygodniach zadzwoniła do mnie pani doktor i poprosiła, żebym przyjechała do gabinetu. Już sam telefon był dla mnie bardzo stresujący, bo przeczuwałam, że gdyby wynik był dobry, pewnie usłyszałabym to inaczej. Kiedy jechałam do Białegostoku, miałam mnóstwo czarnych myśli. Niestety potwierdziło się to, czego się bałam. W gabinecie usłyszałam diagnozę: czerniak złośliwy. Tego momentu chyba nie zapomina się nigdy.

Pamięta pani swoją pierwszą reakcję?

Rozpłakałam się od razu. To był ogromny szok i strach. Zawsze bałam się czerniaka właśnie dlatego, że mam tyle znamion. Wielokrotnie mówiłam mężowi: „jak można umrzeć od jednego pieprzyka?”. I kiedy usłyszałam diagnozę, dokładnie tak się poczułam – że mam jeden „pieprzyk” i że mogę umrzeć. W jednej chwili człowiekowi przewartościowuje się całe życie. Wszystko, co wcześniej wydawało się ważne, nagle przestaje mieć znaczenie. Pojawia się tylko

strach o życie, o rodzinę i o to, co będzie dalej.

O czym wtedy pani myślała?

Przed wszystkim o dzieciach. Syn miał wtedy 11 lat, córka 18. Pamiętam, że pierwsza myśl była taka, że nie zobaczę ślubu córki, że nie doczekam zakończenia szkoły przez syna. To były bardzo trudne emocje. Człowiek automatycznie zaczyna wyobrażać sobie najgorszy scenariusz. W głowie pojawia się pytanie: „ile czasu mi zostało?”. To był ogromny płacz, strach i bezradność. Myślę, że każdy, kto słyszy diagnozę nowotworową, przeżywa podobny moment zatrzymania świata.

Co pomogło pani opanować ten lęk?

Bardzo dużo dała mi rozmowa z panią doktor. Lekarka nie ograniczyła się tylko do pokazania diagnozy. Od razu spokojnie wyjaśniła, jakie będą kolejne kroki, jakie badania trzeba wykonać i jak będzie wyglądało leczenie. To było bardzo ważne. Kiedy człowiek dostaje konkretny plan działania, trochę łatwiej sobie poradzić psychicznie. Najgorsza jest niewiedza i czekanie. Wtedy wyobrażenia pracują najmocniej. Lekarze w BCO dali mi poczucie, że jestem zaopiekowana i że nie zostałam sama z tym wszystkim.

Jak wyglądało leczenie?

Najpierw zaczęły się bardzo dokładne badania. Miałam pilne USG, podczas którego sprawdzano między innymi węzły chłonne. Na szczęście nie wykryto tam przerzutów, ale pojawiły się jakieś niejasności dotyczące wątroby. To był kolejny ogromny stres, bo człowiek od razu myśli o najgorszym. Później miałam tomografię i badanie PET. Ostatecznie udało się wykluczyć przerzuty nowotworowe i to była ogromna ulga. W przypadku czerniaka to kluczowa informacja, bo od tego zależy dalsze leczenie. W moim przypadku zakończyło się ono operacją.

Czy potrzebna była chemia albo radioterapia?

Nie, ponieważ choroba została wykryta odpowiednio wcześniej i nie było przerzutów. Wycięto mi zmianę z bardzo dużym marginesem. Mam usunięty fragment mięśnia na udzie oraz węzły

chłonne wartownicze w pachwinie. Sama operacja była oczywiście trudnym doświadczeniem, ale miałam świadomość, że to daje mi szansę na normalne życie. Gdyby nowotwór został wykryty później, leczenie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Dlatego dzisiaj tak mocno podkreślam znaczenie profilaktyki.

Czyli profilaktyka naprawdę uratowała pani życie?

Tak, jestem o tym przekonana. Gdybym zlekceważyła tę zmianę albo odkładała wizytę jeszcze kilka miesięcy, wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej. Czerniak to bardzo agresywny nowotwór. Tutaj czas naprawdę ma ogromne znaczenie. Ludzie często mówią: „to tylko pieprzyk”, „obejrzę to kiedyś”. Ja też kiedyś tak myślałam. Dzisiaj wiem, że nawet mała zmiana może oznaczać coś bardzo poważnego.

Co było najtrudniejsze podczas całej choroby?

Najtrudniejsze było patrzeć na rodzinę. Na mamę, męża, rodzeństwo. Widziałam, jak bardzo oni się boją i jak to wszystko przeżywają. Sama oczywiście też się bałam, ale miałam poczucie, że muszę być silna dla nich. Człowiek nie chce, żeby najbliżsi cierpieli jeszcze bardziej, więc próbuje się trzymać, nawet kiedy w środku wszystko się rozsypuje.

Przed chorobą regularnie badała pani znamiona?

Nie. Może dwa razy w życiu byłam na takich kontrolach. Jedno znamię miałam kiedyś usunięte, ale generalnie nie odbywałam profilaktyki. Dzisiaj mówię o tym otwarcie, bo myślę, że wiele osób robi dokładnie to samo. Człowiek zawsze znajduje wymówkę – brak czasu, praca, obowiązki. Dopóki nic się nie dzieje, wydaje nam się, że problem nas nie dotyczy.

A dziś?

Dzisiaj regularnie się kontroluję. Co trzy albo cztery miesiące mam badania. Sprawdzam znamiona, robię mamografię, kolonoskopię i wszystkie inne potrzebne kontrole. Jestem praktycznie przebadana od góry do dołu. Teraz wiem, jak ogromne znaczenie ma profilaktyka i jak wiele może zmienić szybka reakcja.



Emilia Rukścińska z Augustowa

Jest pani również zaangażowana w działalność społeczną.

Tak, jestem wiceprezesem stowarzyszenia „Pozytywka” w Augustowie. Trafiłam tam po swojej chorobie i dostałam od tych kobiet ogromne wsparcie. To są głównie kobiety po różnych nowotworach, które doskonale rozumieją emocje pacjentów. Dzięki temu człowiek nie czuje się osamotniony.

Czym zajmuje się stowarzyszenie?

Organizujemy spotkania, akcje profilaktyczne i różne wydarzenia w Augustowie. Rozmawiamy z ludźmi o badaniach i staramy się uświadamiać, jak ważna jest profilaktyka. Augustów jest małym miastem, więc wiele osób się zna. Dzięki temu łatwiej docierać do mieszkańców i rozmawiać z nimi bezpośrednio.

W jaki sposób widzi pani efekty tych działań?

Nawet dermatolodzy zwracali uwagę, że z Augustowa przyjeżdża coraz więcej osób na profilaktyczne badania w kierunku czerniaka. To pokazuje, że ludzie zaczynają się badać i przestają bagatelizować problem. Myślę, że część osób rzeczywiście przestraszyła się po tym, co mnie spotkało, ale jeśli dzięki temu ktoś wykryje chorobę wcześniej, to bardzo dobrze.

Wiele osób tłumaczy, że problemem są kolejki do specjalistów.

Tak i często właśnie to powstrzymuje ludzi przed badaniami. Wiele osób zakłada, że trzeba czekać pół roku do dermatologa i od razu rezygnuje. A przecież nie zawsze musi to być dermatolog. Mnie zdiagnozował chirurg-onkolog. Do takiego specjalisty można dostać się dużo szybciej. Ludzie często po prostu nie wiedzą, jakie mają możliwości.

Co powiedziała pani osobom, które wciąż odkładają badania profilaktyczne?

Żeby przestały odkładać badania profilaktyczne. Profilaktyka naprawdę może uratować życie. To nic nie kosztuje poza odrobiną czasu i przełamaniem własnego strachu. Nawet jeśli trzeba chwilę poczekać na pierwszą wizytę, później kontrola raz w roku naprawdę nie jest wielkim wysiłkiem. Lepiej sprawdzić coś wcześniej niż później żałować.

Dzisiaj inaczej patrzy pani na nowotwory?

Zdecydowanie inaczej. Kiedyś słowo „rak” kojarzyło mi się wyłącznie z wyrokiem. Dzisiaj wiem, że wiele nowotworów, jeśli są wcześniej wykryte, można skutecznie leczyć i normalnie żyć. Dlatego tak ważne jest, żeby się badać i reagować na niepokojące zmiany. Czasami jedno badanie naprawdę może uratować człowiekowi życie.

PULS

#219



Generacja zrób to sam.

Agaton Koziński

KTO SIĘ POTRAFI UCZYĆ
NA WŁASNYCH BŁĘDACH?

Awantura, jaka w Polsce wybuchła przy okazji decyzji Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednej z ukraińskich jednostek nazwy „Bohaterowie UPA” sprawia, że poniżej naszych radarów przeszło inne wydarzenie. Gest pozornie drobny, ale ważny - w dodatku przypominający już to, co oglądaliśmy w przeszłości.

Chodzi o decyzję niemieckiego biznesu o udziale w konferencji gospodarczej w Petersburgu. Przedstawiciele niemieckiej Izby Handlu Zagranicznego regularnie brali udział w tym forum do 2021 roku. Po ataku Rosjan na Ukrainę przestali, ale w tym roku postanowili tam wrócić. - Zachód nie powinien na stałe oddawać Rosji jej dużego rynku i surowców Azji - argumentował tę decyzję Matthias Schepp, szef Izby.

Nie pierwszy to raz, gdy Niemcy wychodzą z założenia, że można z Rosją zbudować normalne stosunki gospodarcze. Za czasów rządów Angeli Merkel powstała nawet cała doktryna nazywana po niemiecku „Wandel durch Handel” (zmiana przez handel). Zgodnie z jej założeniami budowanie więzi biznesowych z Rosją miało przełożyć się na jej zmianę polityczną. Uważano, że im więcej różnych interesów będzie łączyć Moskwę z Berlinem - czy, szerzej, całą Rosję z Europą - tym Kreml stanie się bardziej przewidywalny, bardziej cywilizowany, bardziej demokratyczny. To legło u podstaw koncepcji budowania najpierw pierwszej, a potem drugiej nitki rurociągu Nord Stream. Handel ropą miał sprawiać, że Rosja nigdy nie wyda swojej armii rozkazu wyjścia z koszar - tak przekonywali całą Europę Niemcy.

Nord Stream 2 miał być otwarty w drugiej połowie 2022 r., ale pół roku wcześniej, 24 lutego, Rosja uderzyła na Ukrainę. Takie efekty przyniosła wielowektorowa strategia „Wandel durch Handel” w praktyce.

Oczywiście, dziś nikt już skompromitowanego pomysłu cywilizowania Rosji przez związki biznesowego podnosić nie będzie. Koncepcje z czasów Angeli Merkel odeszły bezpowrotnie razem z nią. Ale też nie da się nie zauważyć, że od czasów zawieszenia współpracy gospodarczej z Rosją Niemcy znajdują się w bardzo trudnej sytuacji gospodarczej. W tak trudnej (wzrost gospodarczy Niemiec w 2025 r. to 0,2 proc., w tym roku ma to być ok. 0,5 proc.), że biznes będzie szukał każdej okazji do ratowania swoich szans. Także jeśli będzie to oznaczało współpracę z Rosją. A jeśli ktoś uważa, że to nie jest możliwe - bo wartości, bo zasady, bo trwa wojna - to niech najpierw odpowie na pytanie: co delegacja niemieckiego biznesu robi w Petersburgu?

Oczywiście, biznes nie funkcjonuje w próżni, nad nimi są jeszcze politycy, rząd. Trudno sobie wyobrazić sytuację, w której kanclerz Friedrich Merz odnawia współpracę z Moskwą albo przynajmniej akceptuje odbudowę relacji biznesowych. Ale Merz jest kanclerzem słabym (po roku rządów ma rekordowo niskie sondaże), koalicja rządowa jest pęknięta i wewnętrznie skłócona. A w sondażach bardzo wyraźnie prowadzi AfD, które mocno argumentuje na rzecz ograniczenia pomocy Niemiec dla Ukrainy i odbudowy więzi z Rosją. To jest skala wyzwania, przed jaką stoimy jako Polska, jako Europa. Warto też pamiętać o tym wymiarze trwającego obecnie na wschodzie konfliktu i w tym kontekście patrzeć też na polską dyskusję o „bohaterach UPA”, których nigdy nie było.

Adam Bula

BOOMERSTWO WRACA
DO SZKOŁY

o nie jest tak, że nie nadążam. Po prostu pamiętam, że to podłużne coś w dłoni służy do kontaktu na odległość - nawet jak wolimy już SMS-ować lub dyktować wiadomość, a nie dzwonić i rozmawiać. A że to już nie telefon tylko smartfon, szybko przejmujący funkcje kolejnych, niepotrzebnych już setek urządzeń: od zegarka po glukometr - to kwestia drugorzędna. Dla mojego pokolenia. Dla wcześniejszych, czyli... prawie wszystkich - smartfon zastępuje też coraz powszechniej takie drobiazgi jak realne kontakty międzyludzkie lub nawet... samą rzeczywistość.

To zresztą ciekawe, jak często ludzie myślą „nadążanie” za światem z „nadskakiwaniem” metryce. Jeśli pamiętasz jeszcze telefony na kabel w daleko nie każdym domu, masz po prostu przywilej rozeznania. Powinniśmy oczywiście ogarnąć Tik Toka, ale doprawdy nie musimy udawać, że nas to kręci i totalnie kasuje sens wieczorków w domu kultury z poezją Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Zaprawdę bowiem stoi w Piśmie, że jest czas na różne rzeczy pod słońcem... To trochę jak z samochodami: między napędem spalinowym a elektrycznym zachodzi tylko różnica technologiczna. Prawdziwy - i niekoniecznie dobry - przełom cywilizacyjny polega na tym, że to nowsze cholerstwo bez przerwy do ciebie gada. I zwyczajnie się czepia, wciąż czegoś ci zakazując albo nakazując. Moja ukończona honda (rocznik 1996) poproszona - pięknie śpiewała, a nie proszona - trzymała język za zębami. Dziś możemy wybierać między tysiącami nowych modeli, zaprogramowanych fabrycznie na maniackalnego konsultanta-gadździarza.

Pamiętanie innych systemów, innych czasów i innych sprzętów nie musi być dziaderstwem, boomerstwem czy jakimi tam jeszcze epitetami akurat młodsi rzucają. Mój smartfon zazwyczaj leży i milczy, od czasu do czasu dając znać, że ktoś ma do mnie jakąś sprawę. Nieużywane smartfony moich córek mają notoryczną fazę ostrej epilepsji: tam na ekranie co 0,25 sekundy wskakuje nowy rozpraszacz, generowany przez jedną z bóg wie ilu aplikacji z włączoną standardowo funkcją powiadomień. Dzieci dziś to - nawet w fazie wymuszonej koncentracji na rozmowie z rodzicem - jednookie

cyklopy z odruchami, które naśladują Edwarda Nortona grającego upośledzonych.

Dla mnie w sumie spoko, dopóki jeszcze jest kontakt. Nie chodzi mi bowiem o gędzenie, że „za naszych czasów”. Bo wtedy prawie wszystko nie „było lepsze”. Sporo jednak rzeczy miało swój głębszy sens. Jednym z nich było chodzenie do szkoły. Porzucmy kwestie, jakiej szkoły, z jakim programem i nauczycielami, czyli - z jakim finalnym skutkiem. Zysków z powszechnie dostępnej ale też przymusowej, podstawowej edukacji nikt w zasadzie nie kwestionuje. Niezwykle mnie ciekawi zatem, czy opozycyjnej prawicy i prezydentowi uda się po wakacjach nakręcić kolejną głównoburzę nad zapowiedzianym właśnie przez rząd zakazem używania przez dzieci w podstawówkach smartfonów: na lekcjach i na przerwach.

Wydaje się, że ten coraz powszechniej wprowadzany w liberalnych krajach (ale np. w Chinach też) standard trudno jest kwestionować. Po prostu nauka dziecka w szkole i włączony smartfon w jego rękach to dwie równoległe linie rzeczywistości. Albo, mniej górnołotnie: szkoła sprowadzona do wieloletniego, specjalistycznego szkolenia unikalnej cechy polegającej na ukradkowym skrolowanie sociali.

To problem naprawdę daleko mniej kontrowersyjny od wprowadzonego rok temu w Australii twardego zakazu korzystania z mediów społecznościowych przez dzieci do lat 16. Bo tu dopiero otwiera się pole do wielkiej dyskusji. Dyskusji o tym, jak zmiana technologiczna (internet + smartfon) przekłada się nie tylko na zmiany cywilizacyjne (interakcje w sieciach społecznościowych a nie w realu) ale wprost na biochemię i strukturę naszych mózgów (obrazkowość, przebudzowanie, itd). Tylko że jakby czas się na takie dyskusje powoli nam kończy. Bo ja - boomers, potrafię puścić na sociale szybką rolę z kotkiem, choć niekoniecznie będzie ona wiralem. A ilu młodych z pokolenia Z wysiedzi na wieczorku z poezją Pawlikowskiej, gdy każą wyłączyć smartfony?

Kiedy upadliśmy? Kiedy się zastanawiam, czy zaznaczyć, że to było pytanie retoryczne, a każdy inteligentniejszy żart w sieci opatrywany jest dopiskiem, że to ironia. Więc przynajmniej odpuśćmy sobie kłótnie o smartfony w szkołach. Dajmy naszym dzieciom szansę dowiedzenia się czegoś o świecie, zanim - jako gatunek - nieuchronnie nie zaczniemy wracać na drzewo.

Nie mówię, że to źle. Twierdzę tylko, że to będzie inne drzewo z innym homo - bo na pewno już nie sapiens.

Spodziewajcie się licznych zmian. Było ich dużo w pierwszym spotkaniu i w drugim też tak będzie. To są mecze sparingowe i kiedy, jeśli nie teraz, próbować różnych rzeczy i dawać szansę piłkarzom? W trakcie spotkania z Ukrainą przeprowadziliśmy dziewięć zmian. To normalne w takich meczach

SELEKCJONER PIŁKARSKIEJ REPREZENTACJI POLSKI JAN URBAN PRZED ŚRODOWYM MECZEM TOWARZYSKIM Z NIGERIĄ

FOTOkomentarz tygodnia



FOT. PAP/EPA/MAXYM MARUSENKO

1 CZERWCA, UKRAINA

Rosji coraz trudniej o sukcesy wojskowe na linii frontu, więc sięga po typową dla siebie brutalność wobec cywilów. Tylko 1 czerwca w bombardowaniach Ukrainy zginęło 13 osób (cztery w samym Kijowie), ponad 100 zostało rannych. Rosjanie użyli kombinacji ataków dronowych (650 różnego rodzaju dronów) i raketowych (70 pocisków). Ale obok kolejnych aktów terroru widać coraz większą słabość Rosjan na polu walki. Linia frontu – mimo zapowiadanej na wiosnę ofensywy – stoi właściwie w miejscu. A wojska ukraińskie za pomocą dronów coraz skuteczniej uderzają w zaplecze rosyjskiej armii



FOT. PAP/WOLTEK JARGIELO

1 CZERWCA, POLSKA. Między innymi w ten sposób dzieci świętowały tegoroczny Dzień Dziecka – bo też bez współczesnych cyfrowych wynalazków najmłodsi często nie wyobrażają sobie życia. Ale rząd uznał, że szkoły powinny być od elektroniki wolne. Od 1 września wejdzie zakaz korzystania ze smartfonów



FOT. PAP/SZYMON ŁABIŃSKI

1 CZERWCA, PŁOCK. Potężny pożar doszczętnie zniszczył ogromną (8 tys. mkw.) halę. Ogień gasiło aż 120 strażaków. Na szczęście obyło się bez ofiar, ale z dymem uleciało wiele miejsc pracy w centrum Płocka



FOT. PAP/PIOTR NOWAK

31 MAJA, WARSZAWA. Estończyk Jaan Roose przeszedł po 500-metrowej linii rozciągniętej między Pałacem Kultury i wieżowcem Varso. Prawdziwy spacer w chmurach – bo na wysokości 180 m.

Słuchajcie, mam taką teorię - gdyby jutro na dobre wyłączyli internet, prąd i zamknęli wszystkie sklepy, najlepiej z tą apokalipsą poradziłoby sobie pokolenie X. No bo kto inny? Zetki bez technologii mogłyby być bardzo zagubione. Większość mileniśców też miałaby problem ze zbudowaniem szafasu bez instrukcji na YouTube. Boomersi skrzyknęliby się w grupę i dzielnie znosili trudne warunki. Ale prawdziwymi mistrzami przetrwania i jedyną szansą ludzkości na odbudowę cywilizacji byłoby pokolenie X. Oni są jak MacGyver. Ze spinacza i gumy do żucia zbudują wynalazki ratujące życie" - zaczyna swój felieton Anna Szlęzak, psycho-terapeutka. I dodaje, że „pokolenie X to ludzie, którzy przetrwali stan wojenny, hiperinflację, trzy bańki spekulacyjne i przejście z faksu na Slacka. To psychologiczny ultramaraton, który od czterdziestu lat nie pozwala im zwolnić, odpocząć i poczuć się w pełni bezpiecznie”.

Pokolenie X to ludzie urodzeni w latach 1965-1980. Rozbieżność niby duża, bo jedni to już dziadkowie, inni wciąż wychowują własne dzieci, ale pewne cechy mają wspólne. Twardzi musieli być od dzieciństwa.

Z kluczem na szyi

Wojtek, rocznik 71., informatyk. Dorastał na Śląsku, rodzice przyjechali tu w poszukiwaniu pracy i lepszej przyszłości. Jakie ma pierwsze skojarzenie z dzieciństwa? Klucz na szyi i młodszy brat uwieszony u nogi.

- W sumie to miałem fajne dzieciństwo! - tak zaczyna.

Rodzice pracowali na poranne zmiany, od godz. 7.00 do 15.00, ale jakąś godzinę zajmował im powrót do domu. Rano mama zaprowadzała Adama, młodszego brata, do przedszkola, on do szkoły maszerował sam. Z kluczem na szyi, jak większość kolegów i koleżanek z klasy. W szkole jadł obiady, drugie śniadanie przynosił ze sobą.

- Wracałem do domu i czekałem na brata, przyprowadzała go zaprzyjaźniona sąsiadka, która chodziła do przedszkola po swoją córkę. Nie pracowała, mąż był górnikiem, więc mogła sobie na to pozwolić. Po przyjściu Adama robiłem nam kanapki, potem odrabiałem lekcje, a brat się bawił - wspomina.

Dość szybko pojął, ale i Adam też, że im sprawniej działają, tym więcej czasu spędzą z kolegami. Nauczył się kroić chleb, kłaść na niego co tam było w lodówce. Odrabiał lekcje starannie, ale co chwila zerkał na zegarek. Adam wiedział, że nie ma co marudzić i przeszkadzać, bo wtedy be-

W dzieciństwie nosili klucz na szyi i nauczyli się, że najlepiej liczyć na siebie. Przetrwali stan wojenny, hiperinflację, transformację, trzy bańki spekulacyjne i rewolucję technologiczną. Dzisiaj to oni wciąż napędzają światową gospodarkę, chociaż dla tego świata stali się „niewidzialni”

Dorota Kowalska



Wszystko, przez co przeszli w zawodowym życiu, sprawia, że lksy często zostają w pracy po godzinach, są przemęczeni

POKOLENIE X. TWARDZIELE, O KTÓRYCH TROCHE ZAPOMNIAŁ ŚWIAT

dzie siedział w domu, więc jak to mówi Wojtek, „młody współpracował”.

- Rodzice z pracy zawsze wracali zmęczeni. Pytali, jak tam w szkole, czy odrabiałem lekcje, czy nie jesteśmy głodni, Adama, co było na obiad w przedszkolu - wspomina.

Odpowiedzi szły z automatu: „W szkole dobrze”, „Tak, odrabiałem lekcje”, „Nie, nie jesteśmy głodni. Zrobiłem kanapki”. Adam potakiwał i dodawał, że obiad w przedszkolu był smaczny, z nikim

się nie pobił i pani go pochwałała. Po tym błyskawicznym zdaniu relacji z dnia następowo było rytualne: „To możemy iść na dwór?”.

- I mama zazwyczaj kiwała potakująco głową. Dzisiaj myślę, że była w tym potakiwaniu także ulga, rodzice mogli wreszcie odpocząć - śmieje się Wojtek.

Na podwórku koledzy czekali na nich już od godziny 15. Była gra w piłkę na pobliskim boisku, czyli wykoszonych polanie, wrotki, które on dostał na

gwiazdkę jako pierwszy na osiedlu, był trzepak, zabawy w chowanego. Adam był z nim albo ze swoimi kolegami. Wszyscy trzymali się razem. Do domu musieli wrócić do godziny 19.

- Wiedziałem, że muszę radzić sobie sam. Nie było telefonów, nie było Google'a. Jak coś się stało, mogłem co najwyżej pobiec do sąsiadki. Nie widziałem w tym żadnego heroizmu, wszyscy moi koledzy tak funkcjonowali - wzrusza ramionami Wojtek.

Rodzice, owszem, byli obok, troszczyli się, kochali, ale nie było wylewności, okazywania uczuć, przytulania. Uczyli go samodzielności, a właściwie samodzielności uczyło go życie. Tata pokazywał mu, jak dbać o wrotki, jak nasmarować łańcuch w rowerze, nawet dziurę w piłce sami zakleili łątą. Długo nią już nie pograł, ale starczyło na jakiś czas.

Jako dorosły mężczyzna trzy razy wyremontował mieszkanie, naprawia w domu

wszystkie sprzęty, do fachowców dzwoni tylko wtedy, kiedy wie, że z problemem sobie nie poradzi. Inni jego znajomi też tak mają.

- Mówiąc szczerze, z rozrównieniem wspominam tamte czasy. Było trudniej, biedniej, ale dorastaliśmy razem, w grupie. Nie było komputerów, musieliśmy sami wymyślać zabawy, organizować sobie czas - mówi.

Tak, czuje się przez to twardszy, odporniejszy, bardziej zaradny, chociaż pewnie z dzisiejszej perspektywy ktoś powiedziałby, że był dzieckiem niezaopiekowanym. Nie odbiera tak tego. Takie były czasy, tak funkcjonowała większość dzieciaków w jego dzielnicy. No chyba że ktoś miał blisko dziadków, ale zazwyczaj jeździło się do nich na wakacje. Rodzice kolegów, tak jak jego, przyjechali na Śląsk, nie mieli tu rodziny. Musieli sobie radzić bez jej wsparcia, ich dzieci - czyli oni - także. Więc zawsze było przedszkole, potem szkoła i najlepiej studia. Rodzice cały czas im powtarzali, że mają się uczyć, bo jak się już wykształca, czeka na nich praca, a jak będą pracować, z czasem kupią pierwsze mieszkanie, samochód, pojedą na wakacje.

- W czasach mojego dzieciństwa świat wydawał się uporządkowany. Wszyscy mieli po tyle samo, raczej mało niż dużo, ścieżka życiowa też wydawała się jasno określona - opowiada Wojtek. Skończył szkołę, potem studia, i ani jednego dnia nie przepracował w wyuczonym zawodzie.

Nowe czasy, nowe wyzwania

„Pokolenie X nie miało łatwego w życiu, i to nie tylko ze względu na wymagające dzieciństwo. Świat na wejściu obiecał względną stabilność i przewidywalność tylko po to, żeby potem ci ludzie musieli patrzeć, jak co kilkanaście lat kompletnie staje na głowie. Od dziecka słyszeli, że jeśli będą ciężko pracować i trzymać się zasad, to wszystko się ułoży. A potem zasady zmieniły się na ich oczach praktycznie co chwilę” - mówi Anna Szlęzak. I dodaje, że „kiedy lksy wchodziły na rynek pracy, w Polsce skończył się komunizm i rozpoczął trudny okres transformacji. Z jednej strony oznaczało to nowe możliwości, z drugiej niepewność zatrudnienia, drastyczne reformy i ogromne bezrobocie. Na oczach lksów walił się stary porządek i w nie małym chaosie rodził się nowy”.

No tak, dość szybko okazało się, że trzeba się przebrnąć albo w ogóle szukać pracy w zupełnie innym niż wyuczonym zawodzie. Do tego, kiedy już wydało się, że lksy oparowały rzeczywistość, pojawiły się komputery, internet

- i znowu musieli się w tym wszystkim odnaleźć.

Anna, rocznik 67. Skończyła studia, ale jakoś nie wyobrażała sobie pracy w szkole, a mogła w niej uczyć języka polskiego. Dużo dzieci, hałas, pensja taka sobie. Chciała pisać. To był świetny czas dla dziennikarstwa, otwierały się nowe redakcje: szukano młodych, zdolnych, pełnych pasji. Poszła do jednej z nich. Redaktor naczelny kazał jej napisać dwa teksty, to zobacz, czy się nadaje.

- Napisałam, przyniosłam. Pozwolono mi zostać miesiąc na okresie próbnym. Po tym czasie dostałam umowę; na początku płacono mi za ilość napisanych artykułów, ale pisałam ich tak dużo, że w pewnym momencie szefostwo doszło chyba do wniosku, że taniej będzie, jak dadzą mi umowę o pracę - wybucha śmiechem.

Bo pracowała, wszyscy tak pracowali, jak opętana. Od rana do późnej nocy. Spotykali się w redakcji około godz. 8.00, szef rozdzielał tematy, wcześniej poranny dyżurant obdzwaniał policję, straż pożarną, urzędy, żeby zorientować się, co się dzieje w regionie. Nie było internetu, nie było całodobowej telewizji. Każdy temat trzeba było wyszarpać, wychodzić. Po kolegium jechali w teren. Potem wracali do redakcji, pisali tekst i gadali godzinami przy kawie.

Wychodzili z redakcji około 22.00. Szaleństwo! Nie dlatego, że musieli. Chcieli. Szybko wciągnęła ją ta robota: wyjazdy, rozmowy z ludźmi i tekst podpisany jej nazwiskiem. Miała poczucie misji? Wzrusza ramionami.

- Nie wiem, po prostu lubiłam to, co robię. I miałam wrażenie, że to coś ważnego. Wtedy gazety sprzedawały się w setkach tysięcy egzemplarzy, ludzie nas czytali, pisali do nas - tak odpowiada. - To był dziwny czas, trudny, ale też dający wiele możliwości. Z mojej klasy z liceum wszyscy poszli na studia. Potem w większości próbowali się odnaleźć w nowej rzeczywistości, bo wchodziliśmy na rynek pracy w czasach transformacji - opowiada.

Spogląda na klasowe zdjęcie z liceum. Ewa skończyła romanistkę, pojechała do Paryża, zrobiła tam studia podyplomowe, wróciła do Polski i natychmiast dostała pracę we francuskim koncernie, który wchodził właśnie na rynek Europy Środkowej i Wschodniej. Ona też pracowała od rana do późnej nocy.

Marek - mieli w liceum rozszerzony język francuski, od szkoły podstawowej uczyli się języka rosyjskiego; też załapał się w jakiejś zachodniej korporacji. Ela, jak tylko było można, wyjechała do Anglii. Monika uczy w szkole, Aśka kilka lat

po studiach otworzyła własny biznes. Każdy jakoś sobie poradził.

Kuba - pokazuje na zdjęciu chłopaka z bujną czupryną - w pewnym momencie się przebranżowił. Zawsze był dobry z przedmiotów ścisłych. Zaczynał jako nauczyciel matematyki, dzisiaj prowadzi firmę informatyczną. Tak, musieli się cały czas uczyć, dostosowywać do zmian, a świat pędził w zastraszającym tempie.

- Kiedy zaczynałam, pracowaliśmy na starych Macintoshach, a kierowca woził co wieczór do drukarni makiety stron - wybucha śmiechem. - Dzisiaj wszystko jest zautomatyzowane, większość dziennikarzy pracuje z domów i łączy się z redakcją na Teamsach - dodaje.

Brakuje jej tamtych redakcji? Tamtej atmosfery? Na pewno tak.

Nastawieni na pracę

Wszystko, przez co przeszli w zawodowym życiu - transformację, prawdziwy skok technologiczny - sprawia, że Ikсы często zostają w pracy po godzinach, wielu z nich to pracoholicy; potwierdzają to zresztą badania. Blisko co trzeci badany Polak deklaruje, że pracuje więcej niż 40 godzin tygodniowo - wynika z raportu „Polki i przedsiębiorczość 2024: Dynamika czasu pracy”. Wśród przedsiębiorczyń ten odsetek wynosi z kolei aż 42 proc. Najwięcej pracują osoby z pokolenia X - aż 43 proc. z nich ponad 40 godzin tygodniowo.

Przedstawiciele pokolenia X często spędzają w jednej firmie wiele lat i mocno się z nią identyfikują. Uważają też, że samo miejsce pracy czy zawód, który wykonują, jeśli te cieszą się wystarczającym szacunkiem, są już swego rodzaju nagrodą, dla której można czasami pocierpieć: zostać dłużej w pracy, przemiłować brak podwyżki czy premii, machnąć ręką na fanaberie szefa. Ikсы są odpowiedzialne, efektywne i lojalne wobec pracodawcy.

Cenią sobie stabilizację, ważna jest również dla nich godziwa pensja. Utrzymują rodziny, często pomagają też rodzicom albo dorosłym już dzieciom. Także z tego powodu cenią sobie przewidywalność. Dla nich zmiana pracy to ostateczność - kojarzy im się wyłączenie ze stresu, brakiem stabilności. Więc, mówiąc szczerze, harują jak woły, żeby było „po staremu”, żeby nic się nie zmieniło.

„Być może trochę licząc na to, że uchroni ich to przed kolejną katastrofą albo przynajmniej pozwoli odłożyć wystarczająco dużo pieniędzy, żeby przetrwać kolejny kryzys. Życie nauczyło ich, że zawsze muszą być przygotowani na najgorsze i że nieważne, jak bardzo dążą do stabilności,

świat i tak pewnie znowu zrobi im jakiegoś bolesnego psikusa, nawet kiedy mają nadzieję na coś dobrego. No i tak przygotowują się na wszystko, co może pójść nie tak” - mówi w swoim felietonie Anna Szlęzak.

I często idzie nie tak. Pokolenie X według danych GUS stanowi dziś 36,5 procent wszystkich pracujących w Polsce. To oni zarządzają zespołami i utrzymują ciągłość biznesową, często uchodzą za ekspertów w swoich dziedzinach. Mimo to w wielu firmach osoby między 45. a 59. rokiem życia są „niewidzialne”, Ikсы rzadziej chociażby uczestniczą w szkoleniach niż przedstawiciele innych pokoleń. Firmy wychodzą z założenia, że pracownik w tym wieku „już zrobił swoje”, więc przestają w niego inwestować.

Dane Eurostatu są jednoznaczne: Polska szybciej niż średnia unijna traci dojrzałych pracowników. Nie dlatego, że ci chcą odchodzić, ale dlatego, że systemowo są wypychani z rynku pracy.

Powód? Wszechobecne stereotypy na temat Ikсов. Chociażby ten, że to pokolenie

Przedstawicielom pokolenia X zarzuca się także wypalenie zawodowe. Tyle tylko, że cierpią na nie również przedstawiciele dużo młodszych pokoleń.

Niewidzialni dla świata

Nie tylko w pracy Ikсы stają się „niewidzialne”. Przedstawiciele generacji X, a więc współcześni czterdziestolatkowie i pięćdziesięciolatkowie, to najbardziej bogatsza grupa klientów. Firmy skupiają się jednak głównie na generacji Z. Zdaniem analityków z agencji mediowej Wavemaker wszystko za sprawą błędnego postrzegania Ikсов. Analitycy postanowili przyjrzeć się problemowi: przeprowadzili własne ankiety i wywiady, przeanalizowali istniejące badania. Łącznie przebadano prawie 200 tysięcy przedstawicieli pokolenia X z całego świata. Swoje spostrzeżenia eksperci opublikowali w raporcie: „Finding the Gen X Factor. Confronting marketing mishaps and bias to over-45s in social”.

Do jakich doszli wniosków? Osoby należące do generacji X reprezentują 31 procent globalnej populacji. Jeżeli jednak chodzi o badania rynkowe,

IKSY MAJĄ DOŚĆ. ŻYJĄ TROCHĘ W ROZKROKU MIĘDZY POKOLENIEM SWOICH RODZICÓW I DZIECI. ZMĘCZENI, PRZECIĄŻENI, CZĘSTO WYPALENI

analogowe. To prawda, ale szybko uczy się cyfrowych rozwiązań.

Dane OECD wskazują, że luka kompetencyjna między nimi a przedstawicielami młodszych generacji jest coraz mniejsza. I wcale nie jest tak, że Ikсы nie lubią zmian. Nowego boją się wszyscy albo prawie wszyscy. Są za to przyzwyczajeni do tego, że w życiu trzeba sobie radzić, sporo przeżyli, więc szybko adoptują się do nowych sytuacji.

Pokolenie X wie, jak działa Facebook, ogląda YouTube'a, jest na WhatsAppie, ale korzysta z nich i możliwości, jakie niesie rozwój nowych technologii, kiedy tego potrzebuje. Robi zakupy przez internet, płaci przez niego rachunki, ale nie daje się wciągnąć przez wirtualny świat.

I wcale nie jest tak, że przedstawiciele pokolenia X nie potrafią pracować w zespołach, bo to kolejny mit na ich temat; ich niezależność nie wynika z braku ducha współpracy. Badania Deloitte nad współpracą międzypokoleniową pokazują, że różnorodność doświadczeń sprzyja efektywności zespołów, a pokolenie X często naturalnie pełni rolę pomostu między stylami pracy młodszych i starszych pracowników.

grupa ta jest mocno niedoreprezentowana i w raportach stanowi jedynie cztery procent respondentów. Firmy z różnych branż z jakiegoś powodu straciły zainteresowanie pokoleniem X. Dlaczego? Zdaniem autorów raportu, twórcy marek i reklamodawcy nie doceniają kompetencji Ikсов w kwestii użycia takich nowszych platform społecznościowych, jak TikTok czy Snapchat, uważają, że ci nie korzystają z mediów społecznościowych tak samo jak młodsze pokolenia. Nic bardziej mylnego! Okazuje się, że aż 92 procent przedstawicieli generacji X korzysta z social mediów każdego dnia. Co ważne, korzysta z nich bardziej świadomie niż pokolenie Z.

Ikсы reprezentują prawie jedną trzecią użytkowników TikToka, są też najszybciej rosnącą grupą osób korzystających z tej platformy. Tymczasem, jak wynika z analiz ekspertów z Wavemakera, zaledwie pięć procent marek tworzy swoje kampanie reklamowe z udziałem influencerów, skierowanych do klientów z tego pokolenia. Z ankiet i wywiadów, które przeprowadzono z osobami należącymi do pokolenia X, wynika, że jedynie 13 procent z nich ma poczucie,

że są adresatami reklam w mediach społecznościowych.

W kanapce

Ci twardziele, o których trochę zapomnieli świat, nigdy nie mieli w życiu lekko i wygląda na to, że to się nie zmieni.

„Z jednej strony albo własnie wychowują dzieci, albo nadal pomagają swoim niby dorosłym, ale wciąż nieustabilizowanym pociechom z pokolenia milenialsów czy zetek. A z drugiej strony muszą się już opiekować swoimi nieuchronnie starzejącymi się rodzicami. Wciśnięci jak ser w kanapce między dwa inne pokolenia, które potrzebują ich wsparcia. Ikсы dają z siebie wszystko, ale są też coraz bardziej przeciążone. A jeśli dodać do tego ich charakterystyczną postawę Zosi Samosi, nieumiejętność przyjmowania wsparcia, to ich sytuacja robi się naprawdę poważna” - mówi psychoterapeutka Anna Szlęzak. I dodaje, „że Ikсы są trochę jak ten pies z mema siedzący w płonącym pokoju i powtarzający, że wszystko jest w porządku”.

Agnieszka, rocznik 76. Trzy lata temu kupili z dziećmi dom. Rodzina to ich córka Gosia, jej mąż i dwoje małych wnuków. Zajmują górne piętro, oni mieszkają na parterze.

- Wciąż pracuję zawodowo, mąż też. Kiedy wracamy do domu, wnuki już na nas czekają. Widzą nasz samochód przez okno i momentalnie są na dole - opowiada. Pewnie, że się cieszy. Za Anielę i Antosia dałaby się pokroić. Ale, umówmy się, czasami czuje się zmęczona.

- Zostajemy często z wnukami, jak młodzi wychodzą. Bierzymy je ze sobą na wakacje. Są jeszcze małe, trzeba się naprawdę sprężyć, żeby za nimi nadążyć - przyznaje. Czasami mówi: dość. Wyjeżdżają z mężem na weekend albo po prostu udają, że ich nie ma.

- Oprócz pracy, własnego domu, domu córki mam też tatę na głowie - mówi.

Tata mieszka sam 20 kilometrów od nich. Jeździ do niego raz w tygodniu, najczęściej w soboty rano. Sprząta mu mieszkanie i gotuje na cały tydzień.

- On sam co najwyżej zrobi herbatę, usmaży jajecznicę, przygotuje sobie kanapkę. Zawsze to mama gotowała i sprzątała, więc kiedy odeszła, nagle okazało się, że muszę ją zastąpić - wzdycha. Proponowała tacie zatrudnienie jakieś kobiety do pomocy. Nie zgodził się. „Sam sobie poradzę” - usłyszała. Wiadomo, że sobie nie poradzi.

Musi też ojca wozić na wizyty do lekarzy, sprawdzać, czy przyjmuje lekarstwa, czy robił wszystkie opłaty. Jednak nie skarży się.

Magda, koleżanka, jeździ do rodziców co dwa tygodnie, 130 kilometrów w jedną stronę. Żyją oboje, ale są już dobrze po osiemdziesiątce. Nagotuje, opierze, posprząta i wraca. Waldek wziął matkę do siebie - ma duży dom, wygospodarował dla niej pokój. Podobnie zrobiła Marta ze swoim tatą.

„The Economist” pisze tak: „Mają na głowie coraz starszych rodziców i własne dzieci. Nie zrobili zawrotnej kariery. Często nie dorobili się nawet własnego domu, nie wspominając o okazałym majątku. Są coraz starsi, zaczynają podupadać na zdrowiu, a wiele wskazuje na to, że poczną początek upadku systemu emerytalnego na własnej skórze. Oto pokolenie X - najbardziej zapomnianych i rozczarowanych życiowo osób. Ostatnie badanie przeprowadzone przez Ipsos w 30 krajach pokazuje, że 31 proc. pokolenia X twierdzi, że jest „niezbyt szczęśliwe” lub „w ogóle nie jest szczęśliwe”, co stanowi najwyższy odsetek spośród wszystkich pokoleń. David Blanchflower z Dartmouth College odkrył, że wszelkiego rodzaju negatywne emocje - od nieszczęścia, przez niepokój, po rozpacz - osiągał szczyt w wieku około 50 lat.

Ikсы mają dość. Żyją trochę w rozkroku między pokoleniem swoich rodziców i dzieci. Zmęczeni, przeciążeni, często wypaleni. I świadomi, że właściwie nie mają wyjścia. Nie proszą o pomoc, bo życie ich nauczyło, że najlepiej liczyć na siebie.

Z drugiej strony, coraz częściej - o czym pisze „The Economist” - zastanawiają się, czy było warto tak ciężko pracować, tak bardzo się poświęcać, tak przeć do przodu. Bo co właściwie dzisiaj z tego mają? Ale nawet jeśli czasami przyjdzie im do głowy taka myśl, szybko machają ręką i biegną dalej: bo urodziny wnuka, bo lekarz mamy, bo roczne sprawozdanie w pracy. Nie ma się co mazać - trzeba się wziąć w garść, bo „jak nie my, to kto?”.

Anna Szlęzak mówi tak: „Prawdziwe wzięcie się w garść to odwaga, żeby w końcu przestać być MacGyverem dla całego świata i stać się nim dla samego siebie. To moment, w którym patrzysz w lustro i przyznajesz: »Tak, ten silnik w mojej głowie zgrzyta, ale nie muszę już dłużej udawać, że wszystko jest w porządku tylko dlatego, że inni na mnie polegają«. Potraficie reanimować martwy akumulator na mrozie, ogarnąć Excela i zarządzać chaosem w domu, jakbyście byli dowódcami jednostki specjalnej. Macie tę legendarną sprawczość niemal wdrukowaną w swoje DNA, więc może czas w końcu przekierować ją także na siebie”.

MARGRABIA WIELOPOLSKI W STAATLICHE MUSEEN W BERLINIE

Od 2026 r. Alte Nationalgalerie w berlińskim muzeum zaprasza galerie narodowe do prezentowania swoich zbiorów. 19 czerwca jako pierwsza zaprezentuje się tam Polska

Mariusz Grabowski

Pod tytułem „Wymyślanie mitów” Agnieszka Lajus, dyrektorka Muzeum Narodowego w Warszawie, wybrała te dzieła z zasobów MNW, które opowiadają polityczno-kulturową historię Polski. Najważniejsze z nich to „Hamlet polski - Portret Aleksandra Wielkopolskiego” z 1903 r. pędzla Jacka Malczewskiego. Trudno bowiem o inny przykład „polskości skondensowanej”.

„Der deutschen Kunst”

Zacznijmy od początku. W 1876 r. cesarz Wilhelm I otworzył „National-Galerie”, znaną obecnie jako Alte Nationalgalerie, która od 1999 r. jest częścią kompleksu Museumsinsel Berlin. Na frontonie widnieje co prawda napis „Der deutschen Kunst” („Sztuce Niemieckiej”), ale podstawą zbiorów była darowizna bankiera Joachima Heinricha Wilhelma Wagera, która obejmowała dzieła artystów włoskich, francuskich, szwajcarskich i belgijskich.

Obecnie Staatliche Museen (a właściwie kompleks pięciu autonomicznych muzeów) posiada imponującą kolekcję dzieł sztuki z okresu między Rewolucją Francuską a Wielką Wojną, klasycyzmem a secesją. Znajdziemy tu m.in. Zbiory Pergamońskie, jak i jedną z największych na świecie kolekcji francuskiej sztuki awangardowej.

Budynki muzeum, zaprojektowane przez Heinricha Stracka według planów Augusta Stülera, został zbudowany w latach 1867-1876. Zbiory MNW zostaną zaprezentowane na I piętrze.

Sława i skandale

Najważniejszym z dzieł będzie „Hamlet polski”, olej Jacka Malczewskiego z 1903 r., symboliczny portret margrabiego Aleksandra Wielkopolskiego (1803-1877). Początek XX w. był dla malarza dość trudny. Liczne zgony w rodzinie, w szczególności śmierć matki skłoniły go do namalowania serii obrazów „Thanatos”. Dodatkowo w 1900 r. Mal-



Namalowany w 1903 r. obraz jest jednym z najbardziej znanych dzieł Malczewskiego. Przedstawia Aleksandra Wielkopolskiego, wnuka carskiego namiestnika w Warszawie

czewski popadł w długoletni konflikt z rektorem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych Julianem Fałatem. Malczewski zarzucał mu służalczość wobec Austriaków oraz forsowanie przestarzałego programu nauczania. W wyniku tego personalnego sporu musiał zrezygnować z wykładania an ASP.

Dodajmy do tego jego niezbyt ustabilizowane małżeństwo. W 1887 r. ożenił się z córką krakowskiego aptekarza Marią Gralewską, ale w 1900 r. poznał Marię Kingę Balową, z którą zdradzał swoją żonę przez kilkanaście lat. Balowa była dlań mużką, której wizerunek utrwalił na wielu płótnach.

W międzyczasie organizował wiele wystaw swoich prac; w 1903 r. po raz pierwszy odbyła się indywidualna wystawa twórczości Malczewskiego w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie i Lwowie, a także w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

Symbol jako klucz

Od strony artystycznej Malczewski był symbolistą, artystą, który odchodząc od dominującego wówczas historyzmu Jana Matejki, otworzył

drzwi do osobistych, wieloznacznych narracji. Symbol traktował jak znak, który poza swoim dosłownym znaczeniem odsyła do innych, głębszych treści, często abstrakcyjnych idei, emocji czy wartości.

Twórczość Malczewskiego, licząca ok. 2 tys. obrazów, jest nie tylko artystycznym świadectwem epoki, ale także niezwykle istotnym elementem polskiej kultury i tożsamości, niejako programowo skłaniającym do refleksji nad naszym narodowym dziedzictwem.

Symbolizm w jego wydaniu był zatem czymś więcej niż tylko stylem artystycznym, był swoistą filozofią patrzenia na świat. W jego pracach granice między rzeczywistością a fantazją zacierały się, a świat realny przenikał się ze światem mitologicznym, religijnym i baśniowym. Przedstawione przezeń postacie, obiekty czy nawet elementy krajobrazu nigdy nie są tylko tym, czym się wydają. Zawsze niosą ze sobą ukryte, symboliczne znaczenia, które wymagają od widza głębszej interpretacji i zaangażowania.

Gonitwa idei

Tym, co wyróżnia Malczewskiego, spośród innych

i wewnętrzne demony. Obraz ten można interpretować jako metaforę procesu twórczego, w którym artysta balansuje na granicy rzeczywistości i wyobraźni, próbując uchwycić ulotne idee, a zarazem wciągając widza w swój hipnotyzujący taniec.

Wzorem Szekspir

Dokładnie nie wiadomo, kiedy Malczewski wpadł na pomysł sportretowania nieżyjącego od ćwierćwiecza margrabiego Wielkopolskiego, polityka mającego na początku XX w. ugruntowaną czarną legendę. Na byłym naczelniku rządu cywilnego w Królestwie Polskim ciążyło odium zdrady narodowej, ugodowości wobec zaborczy oraz prowokatora powstania styczniowego.

Przed jego sztalugami stanął więc w zastępstwie wnuk margrabiego - 42-letni Aleksander Wielopolski (1861-1914), ziemianin i co ciekawe malarz amator. Pomysł na jego portret w stroju Hamleta nie był w 1903 r. żadną ikonograficzną rewelacją, ale obsadzenie w szekspirowskiej roli arystokraty nieparającego się aktorstwem mogło budzić zdziwienie.

Jeszcze większe wątpliwości mogło wywołać odejście od tradycyjnych rekwizytów, zamienienie nieodłącznej niegdyś czaszki na margerytkę oraz otoczenie bohatera dwiema postaciami spoza szekspirowskiego świata.

Z kwiatem w rękę

Sam Malczewski, wielokrotnie pytany o obraz twierdził uparcie, że to symboliczna interpretacja postawy Polaków wobec niewoli. A połączenie postaci historycznej z dylematem szekspirowskiego bohatera to pytanie o sens walki i poświęcenia w obliczu beznadziejnej sytuacji. Młody Wielopolski, syn polityka ugodowego, symbolizuje rozdarcie i niemożność podjęcia jednoznacznej decyzji. To zmusza - sugerował malarz - do refleksji nad odpowiedzialnością i wyborem.

Recepcja obrazu wśród rodaków była trudna. Wielo-

krotnie zarzucano Malczewskiemu symboliczne uproszczenia i granie na skojarzeniach. Znajdująca się po prawej stronie starsza niewiasta z siwymi włosami, odziana w ciemne szaty, ze skutymi kajdanami rękoma i przygnębianą twarzą uosabia „Polskę zniewoloną”. Z kolei znajdującą się po lewej stronie młoda dziewczyna, półnaga, ukazana w chwili zrywania oków, to „Polska młoda”, zdolna do czynu, działania i będąca w stanie wyzwolić się z długotrwałej niewoli.

Postać mężczyzny, czyli tego, który ma dokonać symbolicznego wyboru, jest zamysłona, pogrążona w melancholii, a jego niezdeterminowanie podkreślają jeszcze bardziej kwiat w dłoni i pas na ciele. Lecz tak naprawdę Malczewski pozostawia odbiorcę bez żadnej odpowiedzi.

Jak to rozumieć?

Czy „Hamlet polski” jest w ogóle zrozumiały dla innych nacji? Czym, prócz egzotyki, może zaciekać np. Niemców, skoro tuż po prezentacji obrazu wielu krytyków pisało, że jest on niezrozumiały, afektowany, a pomysł z „Dwiema Polskami” jest tyleż wydumany, co nieestetyczny. Śmiano się z Wielkopolskiego, że jest skupiony wyłącznie na błażej zabawie z kwiatkiem. Jeszcze w 1933 r. Adam Heydel, skądinąd wybitny ekonomista sympatyzujący z narodowcami, podsumowywał gorzko: „nie dostrzega dramatu. Bawi się margerytką”.

Sugerowano, że malarski zapał arystokraty przysłonił mu istotne problemy, którymi powinien był się zająć. A hamletyczną zadumę odczytywano jako „przejaw ironii twórcy wobec bezideowego estetyzmu i indyferentyzmu narodowego, jaki reprezentował Wielopolski”.

Paweł Bień, pisząc o „Hamlecie...” na portalu Niezłaztuka.net zauważył: „(...) najciekawsze czai się u dołu obrazu. Oto talia modela ściana jest pasem, w którym miejsce nabożów zajmują tuby z farbami. Metafora o ogromnej sile oddziaływania, choć znów - niejednoznaczna. W ten sposób «Hamlet polski» staje się także wielkim pytaniem o rolę artysty w zmieniającym się świecie (...) Niejeden już uprawiał domysły, sugerując, że pod postacią Wielkopolskiego kryje się w istocie autobiograficzny gest samego Malczewskiego, a wahania modela są hamletyzowaniem malarza”.

„InterNationalgalerie” w Alte Nationalgalerie - Staatliche Museen w Berlinie. Wystawa zbiorów MNW potrwa od 19 czerwca do 17 stycznia 2027 r. www.smb.museum

Przystojny, niespełna 40-letni facet przebiera się na boisku Młodzieżowego Ośrodka Sportowego przy ul. Gdańskiej w Poznaniu w strój sędziowski. Robi to szybko, ale z gracją i pewnością siebie, jak przystało na sędziego asystenta, który za kilkanaście dni wybiegnie na boisko podczas najważniejszego turnieju piłkarskiego na świecie, czyli mundialu w USA, Kanadzie i Meksyku. W zespole słynnego Szymona Marciniaka jest od trzech lat jego prawą ręką, tak samo jak drugi asystent Tomasz Listkiewicz i sędzia techniczny Tomasz Kwiatkowski.

Szybko złapaliśmy flow

- Osiem lat temu pojechałem jako sędzia techniczny na mecz Ligi Europy BATE Borysów - Arsenal Londyn. Dwa lata później zadebiutowałem już jako sędzia asystent w Lidze Mistrzów, w zespole Pawła Raczkowskiego, podczas meczu na Anfield Road w Liverpoolu. Z kolei trzy lata temu dołączyłem do ekipy Szymona Marciniaka. Najpierw były mecze ligowe, a później przyszły największe spotkania na świecie. Bardzo szybko stworzyliśmy zgrany zespół. To ważne, bo czasami spędzamy ze sobą nawet dwa miesiące, praktycznie 24 godziny na dobę. Trudno byłoby dobrze funkcjonować w takim zespole, gdybyśmy nie nadawali na tych samych falach. Dzisiaj często rozumiemy się już bez słów. Pod tym względem u nas obowiązują bardzo podobne zasady jak w drużynie piłkarskiej - tłumaczy Adam Kupsik, rodowity poznanianin i szef kancelarii adwokackiej w rodzinnym mieście.

Wszystko zaczęło się w Poznaniu... i Wielkopolskim ZPN

Jak wielu młodych chłopaków marzył o wielkiej karierze piłkarskiej. Całą młodość i początek dorosłego życia spędził w drużynie Poznanian.

- Po maturze zacząłem studiować prawo i zobaczyłem ogłoszenie, że Wydział Dyscypliny Wielkopolskiego ZPN szuka stażystów. Ostatecznie jednak tam nie trafiłem, bo już po pierwszej wizycie w siedzibie związku stwierdziłem, że zapiszę się na kurs sędziowski. Chciałem po prostu spróbować czegoś nowego. Krok po kroku awansowałem do wyższych lig - najpierw jako arbiter główny do IV ligi, a później jako sędzia asystent do II ligi. Potem dostałem powołanie od PZPN na kurs CORE. Zbierałem dobre recenzje jako asystent i wtedy uznałem, że właśnie w tym kierunku chcę się rozwijać. W 2014 roku zadebiutowałem w ekstraklasie podczas meczu Zawisza Bydgoszcz - Górnik Zabrze. Czego ja się wtedy nasłuchiwałem od ówczesnego właściciela Zawiszy Radosława Osucha...

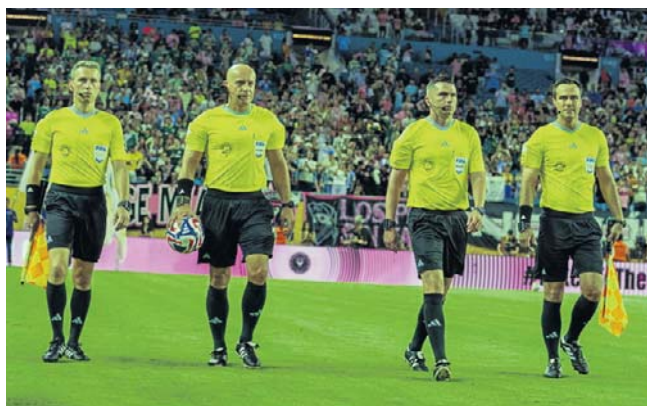
SEDZIA MOŻE SIĘ POMYLIĆ - JAK KAŻDY CZŁOWIEK...

Może jest w cieniu Szymona Marciniaka, może nie jest tak rozpoznawalny, choć jako adwokat jest postrachem chuliganów i może to nie na nim ciąży największa presja. To jednak on jedzie, jako jedyny z Poznania, na piłkarski mundial. - To nagroda za lata biegania po boiskach niższych klas - mówi Adam Kupsik

Radosław Patroniak



Adam Kupsik mocno trzyma chorągiewkę asystenta, tak jak przystało na sędziego, który nigdy nie traci pewności siebie



Adam Kupsik (z prawej) podczas ubiegłorocznych Klubowych MŚ przed meczem Inter Miami - Palmeiras

Do dziś to pamiętam, ale może dobrze się stało, bo takie sytuacje hartują charakter - wspomina Adam Kupsik. Teraz również zawodowo spotyka się z podobnymi sprawami - reprezentując sędziów i działaczy sportowych w postępowaniach dotyczących znieważenia czy

naruszenia nietykalności cielesnej.

- Niech pan napisze, że ten mój wyjazd na mundial to taka nagroda za te wszystkie lata wyjazdów na boiska niższych klas: do Niepruszcza, Czarniejewa, Borui Kościelnej i wielu innych miejsc. Dziś wspominam to z du-

żym sentymentem, choć nie zawsze były to łatwe momenty. Mundial za oceanem będzie dla mnie pewnym podsumowaniem tej drogi. Piłka nożna to moja wielka pasja z dozą adrenaliny - mówi 39-latek.

Symulacja prawdziwych meczów pod okiem Pierluigiego Colliny

Na piłkarskie mistrzostwa świata polski zespół sędziowski nie jedzie w nieznane. Rok temu, w tym samym składzie, arbitrzy prowadzili już mecze podczas Klubowych Mistrzostw Świata.

- Lecimy dwa tygodnie przed rozpoczęciem turnieju do hotelu w Miami, gdzie również przed rokiem mieściła się baza sędziowska. Przed południem odbywają się szkolenia prowadzone przez szefa sędziów FIFA Pierluigiego Collinę. Ich celem jest ujednolice-

nie interpretacji przepisów przez arbitrów z różnych kontynentów.

Po południu przychodzi czas na zajęcia praktyczne z udziałem specjalnie wyselekcjonowanych drużyn. W ciągu kilkunastu minut potrafią oni stworzyć tyle trudnych i nieoczywistych sytuacji boiskowych, że później podczas normalnego meczu człowiek ma wrażenie, że wszystko dzieje się wolniej. Faulują, prowokują, przepychają i robią najmniej oczekiwane rzeczy - opowiada Adam Kupsik.

VAR, testy i ciągle bycie w rozjazdach

W obecnych czasach decyzje sędziów piłkarskich są nierozdzielnie związane z technologią VAR. Nic dziwnego, że lider zespołu Adama Kupsika, czyli Szymon Marciniak, powiedział kiedyś, że sędzia jest

trochę jak saper, bo praktycznie nie ma miejsca na pomyłkę.

- VAR musi być przede wszystkim wykorzystywany właściwie i rozsądnie. FIFA oraz IFAB cały czas rozwijają ten system. Podczas mundialu VAR będzie mógł interweniować również w sytuacjach ewidentnie błędnie pokazanej drugiej żółtej kartki, która w konsekwencji prowadzi do czerwonej kartki - podkreśla Adam Kupsik.

Zapytaliśmy go również o to, czy współcześni arbitrzy nie funkcjonują pod dodatkową presją związaną z nieustanną oceną w mediach i internecie.

- Na boisku pracują trzy pary oczu, a każdy mecz ekstraklasy transmitowany jest z wykorzystaniem około 25 kamer. Podczas mistrzostw świata będzie ich aż 64, trudno więc dziwić się, że decyzje sędziowskie są później szeroko komentowane. Kibice lubią kontrowersje i dyskusje wokół nich - to część piłki nożnej. Dla nas najważniejsza pozostaje jednak ocena obserwatora i analiza konkretnych sytuacji meczowych. Nikt z nas nie jest nieomylny. Istotne jest to, aby ewentualne błędy przeanalizować i wyciągać z nich wnioski na przyszłość. Szymon Marciniak wielokrotnie powtarzał młodszym sędziom, żeby nie bali się korzystać z monitora VAR, jeśli sytuacja tego wymaga - mówi poznański arbiter.

Rozmawialiśmy z nim również o sędziowskich testach kondycyjnych, nawiązując do opinii Jarosława Przybyła, który stwierdził, że arbitrzy momentami muszą być lepiej przygotowani fizycznie niż niektórzy piłkarze.

- Coś w tym jest, ale obojętnie nie uważam, żeby te wymagania były przesadzone. W PZPN ma my trenera przygotowania fizycznego i jeśli ktoś sumiennie realizuje plan treningowy, to zdanie czterech testów w ciągu roku nie stanowi większego problemu. Oczywiście patrzę na to z perspektywy niespełna 40-latk. Pewnie za kilka lat spojrzę na to trochę inaczej, ale z wiekiem trzeba też umieć zaakceptować, że przychodzi moment oddania miejsca młodszemu - przyznaje nasz eksportowy sędzia.

Na koniec zapytaliśmy go też o to, dlaczego Wielkopolska wciąż ma tak niewielu arbitrów na najwyższym poziomie.

- Nie ma jednej prostej odpowiedzi. Na pewno mamy utalentowanych sędziów, choć być może czasami problemem jest selekcja. Trzeba też pamiętać, że ten zawód wiąże się z ogromnymi wyrzeczeniami i ciągłą obecnością poza domem. Bez wyrozumiałej żony i wsparcia najbliższych trudno w ogóle marzyć o wyjściu na murawę największych stadionów i prowadzeniu meczów oglądanych przez miliony kibiców - kończy z uśmiechem Adam Kupsik.

FOT. ROBERT WOŹNIAK



Tak wyglądała 22 maja Noc Otwartych Sądów w Sądzie Okręgowym w Toruniu. Na zdjęciach: symulacja posiedzenia aresztowego przygotowana przez studentów, liczna publiczność (a wśród niej też wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha)

Tuż przed Dniem Wymiaru Sprawiedliwości, 22 maja, polskie sądy chętnie otwierają swoje budynki dla lokalnych społeczności. W tym roku w tej bezsprzecznie cennej akcji wzięła udział w Polsce już setka sądów – także w Kujawsko-Pomorskiem.

Cel jest jeden – pokazać starszym i młodszemu sędziownictwu od środka. Sądy zapraszają serdecznie zarówno do poznawania budynków z ich ciekawą zazwyczaj historią (wiele z nich to zabytki), jak i funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Po raz kolejny w tym roku udało się to zrobić w sposób atrakcyjny, przyciągając choćby na symulacje rozpraw i procesów – dostosowane do wieku gości – setki osób w kraju.

22 maja w sądach każdy witany jest serdecznie, panuje pełna otwartość, gościnność. Zaplanowane symulacje rozpraw startują punktualnie i toczą się sprawnie. Można zadawać pytania pracownikom sądownictwa i liczyć na fachowe i życzliwe odpowiedzi.

A jaka jest sądowa proza życia z punktu widzenia zwykłego obywatela? Niestety, ale zdecydowanie już nie taka sympatyczna...

Przychodzi obserwator do sądu i co widzi?

Fundacja Court Watch Polska rodem z Torunia od kilkunastu już lat nieprzerwanie prowadzi Obywatelski Monitoring Sądów. To już grube tysiące obserwacji i relacji. W rolę obserwatorów najczęściej wchodzi studenci – zawsze profesjonalnie przeszkoleni i przygotowani. Monitoring patrzy na rzeczy najprostsze, zdawałoby się, ale niezwykle ważne z punktu widzenia zwykłego człowieka. Czy rozprawy zaczynają się

punktualnie? Czy są jawne dla publiczności? Czy sędziowie są uprzejmi i pomocni? Czy osoby z niepełnosprawnościami mają w sądzie problemy? Czy wyrok ogłaszany jest terminowo, a orzeczenie jest dla zwykłego człowieka zrozumiałe? To tylko przykłady obszarów, które obserwatorzy w sądach w różnych regionach Polski monitorują od lat, a potem raportują fundacji w ustandaryzowanych formularzach.

I choć z roku na rok przybywa pozytywnych obserwacji (naprawdę!), to pozostają wciąż widoczne grzechy. Ot, choćby punktualność – to pięta achillesowa Temidy. Jak wynika

z ostatniego okresu monitorowania (od 1 czerwca 2025 r. do 1 czerwca br.) tylko 50 proc. rozpraw sądowych zaczyna się punktualnie. Wyjaśnienia lub przeprosiny za opóźnienie? Padają zaledwie w 25 proc. przypadków.

Terminowe ogłoszenie wyroku, zawsze tak wyczekiwanego przez zwykłego człowieka? W 13 proc. moment ten jest odraczany. Lepiej jednak jest już obecnie z jego przekazem. W 98 proc. przypadków (880 obserwacji) wyjaśnienie orzeczenia było przekonujące, a w 97 proc. – jego uzasadnienie zrozumiałe dla wszystkich (868 obserwacji).

Nieuprzejmość i arogancja sędziego?

Noc Otwartych Sądów oznacza gościnność i serdeczność dla gości. Ale codzienność na salach sądowych jest zdecydowanie trudniejsza. Przez kilkanaście lat prowadzenia Obywatelskiego Monitoringu Sądów obserwatorzy raportowali takie przypadki wielokrotnie.

„Postawa sędziego nie wzbudzała zaufania, zwracał się on do stron w sposób nieuprzejmy. Co prawda pozwolił on stronom na wypowiedzenie swoich stanowisk, jednak wypowiedziane przez niego wtrącenia były niekulturalne i miejscami lekceważące. (...) Po-

stawa sędziego sprawiła, że po zakończeniu rozprawy byłam oburzona postępowaniem sędziego. Jego lekceważący oraz arogancki stosunek do uczestników rozprawy był nie na miejscu. Powinien on zachować neutralność i zachowywać się w sposób kulturalny oraz godny poszanowania”. (Obserwacja w SO Płock, Wydział V Karny, 12.08.2022).

„Sędzia, dowiedziawszy się o mojej obecności, przerwała rozprawę, robiąc kilkuminutową przerwę. Mecenas (...) odmówił udziału mojej osoby w rozprawie, naciskając sędziego na odrzucenie mojego udziału w sprawie. Po przerwie sędzia,

powołując się na m.in. 90 kpk, dwukrotnie krzycząc na mnie, wyprosiła mnie z sali. Podczas moich dotychczasowych obserwacji nie spotkałam się z takim potraktowaniem. Jestem zażenowana całą sytuacją, a podkreślę, że byłam tam w roli osoby zaufania publicznego, nie w roli którejś ze stron postępowania – przy takiej sędzi i „górującej” mecenas współczuję oskarżonemu, który pozostał na sali sam, bez wsparcia. Fundacja jest wsparciem, którego odmówiono oskarżonemu na starcie” (SR Zielona Góra, Wydział II Karny, 5.07.2023).

„Początkowo sąd, w mojej subiektywnej ocenie dość agresywnie i często przerywał oskarżonej w jej wyjaśnieniach. Wyraźnie okazywał zniecierpliwienie, podnosił zauważalnie głos, łapał się za głowę, przewracał oczami w odpowiedzi na wyjaśnienia oskarżonej. Kilka cytatów: „to niech pani skleci takie zdanie, żeby dało się to zapisać”, „co pan [...] zeznał, to sąd ma w aktach, pani mówi, jak było”, „ale co?! (...) bo pani nawet nie kończy zdania!”, „z czego?!”, „ja pani zadaję pytanie, pani mówi zupełnie o czym innym”. Wszystko to w połączeniu z, w mojej wyłączenie ocenie, dość lekceważącą gestykulacją. Sąd nie był zbyt wyrozumiały dla zdenerwowanej oskarżonej. W końcu oskarżona się rozpłakała... Od tamtego momentu sąd zupełnie zmienił swoje podejście. Był cierpliwy, nie podnosił już głosu. Uprzejmie prosił o wyjaśnienie, gdy oskarżona odpowiadała w sposób nieuporządkowany. Szkoda, że oskarżona musiała się rozpłakać, żeby zrobić się na tyle, na ile to możliwe, przyjemniej” (SO Warszawa, Wydział XII Karny, 14.04.2023).

SĄDY OTWARTE NA ŚWIAT RAZ W ROKU. A NA CO DZIEŃ?

Raz w roku odbywa się Noc Otwartych Sądów. Wtedy, od święta, polskie sądy autentycznie otwierają się na świat – zapraszają na zwiedzanie zakamarków, rozmaite symulacje rozpraw i wtajemniczają w swoje procedury. A jaka jest codzienność? Proza życia tak sympatyczna już nie jest...

Małgorzata Oberlan

To tylko trzy przykłady i to z jednego raportu (obserwacje z okresu 2022-2023 r.) – podobnych było przez lata, niestety, o wiele więcej. Uczciwie jednak trzeba podkreślić, że raporty Obywatelskiego Monitoringu Sądów zawierają też liczne pozytywne obserwacje dotyczące sędziów: życzliwych, kulturalnych, wyrozumiałych, a co najważniejsze – profesjonalnych.

Mimo wszystko w cytowanym tutaj raporcie jego autorzy odnotować musieli, że: „Sporo relacji obserwatorów odnosi się do braku odpowiedniego przygotowania sędziów, na co wskazuje pospieszne przeglądanie akt dopiero na sali sądowej, zadawanie pytań wskazujących na niewystarczające rozeznanie w prowadzonej sprawie czy odraczenie jej do czasu zapoznania się z kluczowymi informacjami, co w ocenie publiczności może być poczytywane jako brak profesjonalizmu i szacunku dla stron, które musiały danego dnia stawić się w sądzie. Rzecz jasna, niekiedy opinia wolontariuszy może wynikać z subiektywnych odczuć, niemniej z pewnością obniża ich zaufanie do sądów. Sarkastyczne uwagi, podnoszenie głosu czy nieodpowiedni ton, jakim sąd zwraca się do zebranych, świadczą natomiast o niskiej kulturze osobistej lub rażącej nieumiejętności zapewniania nad emocjami i zasługującą na potępienie”.

Połowa Polaków nie ufa sądom. I chodzi nie tylko o politykę

Zaufanie przeciętnego Polaka do wymiaru sprawiedliwości spadło do poziomu alarmującego. Trudno, żeby było inaczej, skoro pewne jego zmory ciągną się od lat – choćby przewlekłość postępowań – a kolejne ekipy rządzące zamiast skutecznie reformować system, pogłębiają tylko chaos.

Tak to odbiera przeciętny Kowalski czy Nowak, dla którego polityczne boje w sądownictwie już dawno stały się niezrozumiałe. Napięcia, podchody i jawne bitwy o kształt jego poszczególnych izb oraz status sędziów (neo- i „praw-



Noc Otwartych Sądów w Sądzie Okręgowym w Toruniu

dziwych”) niespecjalnie go interesują. W sądzie chce zazwyczaj, by jego życiowa sprawa (rozwód, kredyt frankowy, podział majątku etc.) potoczyła się sprawnie.

36,1 proc. – tyle zaledwie rodaków jesienią ub. roku zadeklarowało zaufanie do sądów (sondaż IBRIS dla Rzeczypospolitej). I był to rekordowo niski odsetek. Respondentów „zdecydowanie ufających” było tylko nieco ponad 2 procent.

– W ubiegłym roku odpowiedziało w ten sposób 5,3 proc. respondentów, nie wspominając już o tym, że w 2016 r. Temidzie zdecydowanie ufało 12,9 proc. Polaków. Jednocześnie w ciągu ostatniego roku aż o 10,1 pkt proc. wzrósł odsetek osób, które sądom zdecydowanie nie ufają (z 13 proc. do 23,1 proc.) – podkreślili autorzy raportu. Ekspertki natomiast od razu na tę „czerwoną kartkę dla sądownictwa” zareagowali komentarzami o tym, że na odczucia badanych mógł mieć wpływ fakt, że wymiar sprawiedliwości znajduje się w centrum politycznego sporu. Zapewne tak było i jest, ale czy

OBYWATELSKI MONITORING SĄDÓW

W ciągu kilkunastu lat działania Fundacji Court Watch Polska już kilka tysięcy wolontariuszy wzięło udział w charakterze niezależnej publiczności w ponad 40 000 rozpraw sądowych – w różnych rejonach kraju.

Court Watch Polska rekrutuje i szkoli osoby, które chciałyby prowadzić obserwacje rozpraw w sposób systematyczny. Uczestnicy takich programów są wyposażeni w formularze, dzięki którym mogą przekazywać swoje obserwacje do celów analitycznych oraz zgłaszać uwagi dotyczące pracy obserwowanego sądu. Fundacja udostępnia narzędzia do tego, aby wykonując samemu niewielki odcinek pracy, dokładać swoją cegiełkę do ogólnopolskiego programu badania praktyki sądowej. Dzięki rozwojowi własnego systemu informatycznego zbiera dane od wolontariuszy z całej Polski za pośrednictwem Internetu. Obserwacje są wykorzystywane do przygotowywania sprawozdań i analiz, które są następnie udostępniane sądom oraz opinii publicznej. (Więcej na: www.courtwatch.pl i profilu facebookowym pod nazwą fundacji).

faktycznie to całkowicie tłumaczy tak dramatyczny spadek zaufania do Temidy?

Stosunek Polaków do sądownictwa regularnie bada też CBOS. Z sondażu ostatniego (raport z 2 kwietnia br.) wynika, że w porównaniu z wcześniejszym badaniem pracowni –

z września ub. r. – wzrósł odsetek osób, które pozytywnie oceniają działalność sądów. Lećciutko chociaż zatem powiało optymizmem...

Funkcjonowanie sądów dobrze oceniło 30 proc. respondentów CBOS, co stanowi wzrost o 5 pkt proc. względem

wrześniowego badania. Złe zdanie na temat ich działania miało 47 proc. badanych (spadek o 1 pkt proc.), zaś odpowiedź „trudno powiedzieć” udzieliło 24 proc. ankietowanych.

Media i Temida. Sądy rejonowe rzeczników prasowych nie mają...

Jawność i otwartość działań sądów na co dzień mają też okazję testować dziennikarze i wszyscy zainteresowani mediaworkerzy. Łatwiej im pozyskiwać i przekazywać opinii publicznej informacje z sądów okręgowych niż rejonowych, a tymczasem to tych drugich jest więcej i są one bliższe lokalnym społecznościom.

Dlaczego tak jest? Tylko sądy okręgowe mają rzeczników prasowych (czasem także z asystentami). W sądach rejonowych takich stanowisk i etatów nie ma. Zadania rzeczników w całym kraju powierzono w „rejonach” prezesom tychże sądów; ewentualnie wyznaczonym przez nich wiceprezesom.

Co to oznacza w praktyce? To, że po najprostszej informacji typu „kiedy wyznaczono

rozpoczęcie procesu pana X.” można w przypadku sądu okręgowego zwrócić się telefonicznie lub mailowo do rzecznika i najczęściej szybko ją uzyskać. Ta sama krótka informacja z sądu rejonowego może iść do dziennikarza przez kilka-kilkanaście dni. Bywa, że gdy wreszcie nadejdzie, staje się już nieprzydatna (proces ruszył).

Na przykładzie Torunia i jego regulaminu udostępniania mediom informacji wygląda to tak. Za każdym razem wnioskując o informację, dziennikarz pisze maila, załączając skan legitymacji prasowej. Potem czeka na odpowiedź. Jeśli przyjdzie niewyczerpująca, prośbę o doprecyzowanie pisze mailiem (załączając znów skan legitymacji). Potem czeka. I tak dalej. Podobnie sytuacja wygląda w wielu innych miejscowościach. A samo wejście na rozprawę? W „okręgu” dziennikarz zazwyczaj nie musi się anonswać. Ochronie pokazuje legitymację i informuje, jaka rozprawa go do sądu przywiodła. Potem na sali sędzia decyduje czy zezwala na rejestrację obrazu, dźwięku etc. A w „rejonie”? Procedury konkretne. „Jeśli dziennikarz chce złożyć wniosek o rejestrację przebiegu rozprawy przed terminem rozprawy, winien go złożyć na piśmie wraz z kopią ważnej legitymacji dziennikarskiej lub zaświadczeniem wystawionym przez redakcję, potwierdzającym, że dana osoba zajmuje się przygotowywaniem materiałów prasowych. Wniosek winien zawierać uzasadnienie. W uzasadnieniu należy umotywić wniosek. Ponadto należy wskazać sposób rejestracji i przedmiot rejestracji. Wniosek taki winien wpłynąć do sądu najpóźniej z chwilą sprawdzenia obecności, po wywołaniu rozprawy, co wynika z art. 381 kpk. Adresatem wniosku jest sąd w znaczeniu składu orzekającego, który orzeka w danej sprawie. Decyzja sądu w formie postanowienia nie jest zaskarżalna” – głosi regulamin wspomnianego już SR Toruń. © ©



W oczekiwaniu na posiedzenie aresztowe – symulacja



Biuro Obsługi Interesantów przeniesione w czasie do PRL-u

ALEKSANDRA HARASIUK: NIECH BURSZTYN ZOSTANIE ZACZAROWANY

– Niech bursztyn ma w sobie wszystkie legendy, historie i tajemnice. Chodzi o coś innego: o zbudowanie świadomości, że kupując bursztyn, zwłaszcza bursztyn naturalny, kupujemy kawałek historii. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata – mówi Aleksandra Harasiuk

Amita Czupryn

Mam takie małe marzenie i myślę, że nie tylko ja: pojechać na urlop nad Bałtyki i znaleźć piękny, wielki bursztyn. Jakie są na to szanse latem?

Jako że z bursztynem wiąże się nauka i wiedza, to trzeba wiedzieć, jakie warunki sprzyjają temu, by znaleźć bursztyn na bałtyckim wybrzeżu, nie tylko w Polsce, ale też na Litwie, Łotwie, w Rosji czy w Skandynawii. Najlepsza jest pogoda sztormowa. Najczęściej to, co znajduje się w morzu w postaci żywicy, czyli bursztynu, wyrzucane jest na brzeg w okresie luty-marzec albo październik-listopad. Wtedy mamy największe zmiany prądów w Bałtyku. Podczas sztormów natura porusza tym, co zalega jeszcze na dnie morza. Latem oczywiście też można bursztyn znaleźć, ale trzeba wiedzieć, gdzie i jak go szukać. Można też skorzystać z pomocy tak zwanych poławiaczy bursztynu i wędrówacich śladem. Dzisiaj najbardziej znanym miejscem jest Mierzeja Wiślana. Są tam trzy miejscowości uznawane za centrum połowów bursztynu. Ale żeby znaleźć naprawdę dużą bryłę, to oprócz posiadania wiedzy trzeba się jeszcze urodzić pod szczęśliwą gwiazdą.

Czy bursztyn jest surowcem niewyczerpywalnym? Ile go właściwie jest? Znajduje się tylko w morzu?

Bursztyn, czyli kopalna żywica, występuje w różnych zakątkach świata, ale pochodzi z różnych epok kształtowania się kontynentów i lądolodów. Nasz bursztyn bałtycki związany jest z formowaniem się kontynentu europejskiego i Skandynawii, z tak zwanych wysp Fenno-

skandii. To czasy eocenu. Tak określamy pochodzenie bursztynu bałtyckiego, jako czas w historii geologicznego tworzenia się naszej części świata. Jeśli chodzi o bursztyn bałtycki na terenie Polski, mamy dwa zasadnicze regiony złóż, które Państwowy Instytut Geologiczny pokazuje w bilansie złóż kopalin. Ostatni dostępny bilans, sporządzony na 31 grudnia 2024 roku, wskazuje województwo lubelskie i pomorskie. Lubelskie oceniane jest na 3690 ton (zasoby przemysłowe wynoszą 2059 ton). 11 złóż lubelskich to 3648 ton i położone są na głębokości 20-30 metrów. Pomorskie oceniono na 41 ton na głębokości 60-130 metrów. Obecnie eksploatowane są złoża w województwie lubelskim: Górka Lubartowska, Leszkowice i Niedźwiada III. W ubiegłym roku, zgodnie z raportem, wydobyto ponad 9 ton bursztynu. Każde wydobycie jest zgłaszane do oficjalnych służb, stąd znamy te liczby.

Ile ważyła największa znaleziona bryła bursztynu?

Jeżeli mówimy o bursztynie bałtyckim, największa znana bryła waży 9,75 kilograma. Została znaleziona w 1860 roku w Rarwinie koło Kamienia Pomorskiego. Dziś znajduje się w Muzeum für Naturkunde w Berlinie.

A najpiękniejszy artefakt z bursztynu, którym możemy się chwalić w Polsce?

Jeżeli mówimy o kolekcjach bursztynu w Polsce, bardzo ważne jest Muzeum Zamkowe w Malborku. Tam znajdują się jedne z najcenniejszych obiektów bursztynowych w Polsce. Muzeum Bursztynu w Gdań-

sku to #mustvisit. Ale tuż za granicą Polski, w Ribnitz-Damgarten, znajduje się Deutsches Bernsteinmuseum, czyli Niemieckie Muzeum Bursztynu. Są tam niezwykle cenne rzeczy z bursztynu związane z dawnym, przedwojennym Gdańskiem, który był wtedy miastem silnie związanym z kulturą niemieckojęzyczną. Oni mają obiekty, których my prawdopodobnie nigdy już w Polsce nie będziemy mieli.

Dlaczego bursztyn bałtycki jest tak wyjątkowy na tle innych żywic kopalnych świata?

Z jednego powodu: zawiera kwas bursztynowy na poziomie 5-8 procent. Przypisuje mu się właściwości korzystne dla zdrowia człowieka. Z bursztynem wiążą się legendy i wierzenia ludowe, które mają ponad 3000 lat. Kiedy patrzymy na jego właściwości mineralogiczne, nie z perspektywy lekarzy czy farmakologów, ale historii i medycyny tradycyjnej, to widzimy przede wszystkim legendy, przekazy i wierzenia. Mówiono, że bursztyn i kwas bursztynowy znajdują się na zewnętrznej warstwie bryłki, którą potem noszono jako biżuterię, amulet czy talizman, mają dobry wpływ na człowieka. Ale trzeba jasno powiedzieć: to nie jest wiedza medyczna w ścisłym sensie.

Czy bursztyn może być polskim diamentem?

Bursztyn bałtycki jest naszym skarbem narodowym, dobrem narodowym i dziedzictwem kulturowym. Ale zawsze bardzo mocno podkreślamy, także PR-owo, że nie ma czegoś takiego jak „bursztyn polski”. Jest bursztyn bałtycki, który wystę-

puje na wspomnianych terenach. Dla nas jest dobrem i dziedzictwem kulturowym, ponieważ od ponad 3000 lat na ziemiach, które dziś znajdują się na mapie Polski, był przetwarzany i używany jako amulet, talizman, przedmiot dekoracyjny czy element kultury. Pod Nowym Dworem Gdańskim znaleziono figurki z bursztynu, które miały ponad 3000 lat. Od setek lat eksportowaliśmy wyroby z bursztynu jako przedmioty rzemiosła i podarunki dyplomatyczne. Jedną z badaczek napisała na KUL-u wspaniałą pracę doktorską o tym, jak od XVII wieku z naszych terenów trafiały w świat bursztynowe szkatuły, kufle, różańce i inne przedmioty jako podarunki dyplomatyczne. Różańce upowszechniali między innymi Krzyżacy z Malborka, którzy monopolizowali wydobycie i handel bursztynem od X wieku. Na ziemiach polskich przez wieki zajmowano się przetwórstwem tego surowca. Mamy na to dowody, mamy wspaniałe okazy w wielu muzeach w Polsce. Dlatego uważam, że powinniśmy mówić o bursztynie jako o naszym dobru narodowym i zapleczu kulturowym. To fascynujące dziedzictwo, które wreszcie warto podnieść do takiej rangi, jak twórczość Chopina czy dorobek Marii Skłodowskiej-Curie.

Diament mierzy się w karatach. A czym mierzy się bursztyn? Wagą, pięknem, kolorem, historią, pochodzeniem?

To dziś jedna z najważniejszych kwestii, którymi zajmuje się Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników z siedzibą w Gdańsku. Bursztyn jako żywica od lat był modyfi-

kowany. Jeśli chodzi o skład chemiczny, w 60-80 procentach składa się z węgla, potem z tlenu i wodoru, a także niewielkiej ilości siarki. Po wrzuceniu do ognia płonie, stąd niemiecka nazwa Bernstein. Jest jednak kruchy: w skali Mohsa jego twardość wynosi około 2-2,5. Dlatego nie przetrwał tak jak diament, najtwardszy minerał świata, który ma twardość 10. Po diamentie można przejechać czołgiem i nic mu się nie stanie. Bursztyn łatwo się kruszy, stąd tak mało przetrwało zabytków i artefaktów wykonanych z bursztynu.

O co więc dziś toczy się walka na rynku bursztynu?

O uporządkowanie zasad oceny. Diament ma swoje 4C, czyli kryteria wartości. To bardzo ważne, bo pozwala ograniczać chaos na rynku kamieni jubilerskich. W przypadku bursztynu czegoś tak jednoznacznego nie mamy. W 1996 roku, czyli ponad 30 lat temu, powstało Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników. Jedną z jego założycielek była profesor Barbara Kosmowska-Ceranowicz, która od lat 70. zajmowała się bursztynem bałtyckim. W stowarzyszeniu spotkali się naukowcy z różnych dziedzin: chemicy, fizycy, paleontolodzy, historycy sztuki. Musieli wspólnie zastanowić się, jak klasyfikować kamienie jubilerskie z bursztynu. Taka klasyfikacja powstała i wiele osób na świecie – jak muzealnicy, kolekcjonerzy czy gemmologowie – ją stosują. Ale nie możemy jej nikomu narzucić, bo Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników jest organizacją pozarządową. To nie jest prawo obowiązujące cały świat. Dziś ta klasyfikacja obejmuje cztery podstawowe kategorie. Pierwsza to bursztyn naturalny. Niewygrzewany, niepoddany żadnej obróbce technologicznej zmieniającej barwę czy właściwości. Może być wypolerowany, może zostać użyty do naszyjnika albo koralu, ale nie został technologicznie zmodyfikowany przez człowieka. I to jest najcenniejszy okaz. Druga kategoria to bursztyn modyfikowany, czyli kamień, którego wygląd, tekstura bądź trwałość zostały zmienione w wyniku ingerencji człowieka, np. przez obróbkę termiczną. Może wówczas zmieniać kolor i barwę. Sprzedawane są bursztyny barwione na czerwono czy jaskrawozielono, ale to nie są barwy naturalne. Trzecia forma to bursztyn rekonstruowany (prasowany). Jest poddawany nie tylko obróbce termicznej, ale też łączeniu kilku naturalnych bryłek pod wpływem podwyższonej temperatury i ciśnienia, tak aby powstał materiał, który można pociąć i wykorzystać w biżuterii. Czwarta kategoria to bursztyn łączony, tak zwany duplet/trypiet, gdzie kilka rodzajów mate-

riału może zostać zestawionych w jednej bryłce czy w jednym wyrobie. Jest też międzynarodowa organizacja, która w publikacjach dla kamieni jubilerskich traktuje bursztyn bałtycki jako część organicznych materiałów gemmologicznych, podobnie jak koral czy jadeit. I tam pojawia się bardzo ważne ostrzeżenie: jeżeli bursztyn został zmodyfikowany, nie można opisywać go jako naturalnego. Problem polega na tym, że nie wszyscy się do tego stosują. W laboratoriach gemmologicznych u naszych sąsiadów, na Łotwie czy w Rosji, często pisze się, że bursztyn jest naturalny, a dopiero obok dodaje słowo „modyfikowany”, tak aby uzyskać wyższą cenę. To, co robią nieuczciwi producenci, przemysłownicy i handlarze, to już osobna historia. A właściwie cała epopeja.

Jak często bursztyn się podrabia? I co może zrobić przeciętny człowiek, żeby nie dać się oszukać?

Po pierwsze, niestety, każdy może zostać oszukany. Dlaczego? Bo imitacja bursztynu bywają czasami nie do odróżnienia gołym okiem. Druga sprawa jest taka, że tych imitacji jest bardzo dużo. Od XIX wieku robiono różnego rodzaju materiały, które miały udawać bursztyn. Jednym z najbardziej znanych jest bakelit. To nic innego jak tworzywo sztuczne. Wszedł do masowej produkcji wtedy, kiedy chciano uzyskać materiał w kolorze bursztynu, który będzie podobnie wyglądał. Produkowano go między innymi w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. W XX wieku było bardzo dużo takich podmian. W biżuterii vintage można znaleźć mnóstwo przykładów. Bursztynnicy zawsze się ekscytują, kiedy w filmie czy serialu pojawia się duża zawieszka przypominająca bursztyn. Tak było choćby przy jednej z nowszych produkcji związanych z „Seksem w wielkim mieście”. Jedną z aktorek miała dużą zawieszka i wszyscy uznali, że to bursztyn. Tymczasem był to bakelit. Podobnie Iris Apfel miała wiele dużych naszyjników. Nosiła bursztyn, faktycznie go lubiła i miksowała z innymi rzeczami, ale część jej biżuterii była również bakelitowa.

Jak najprościej sprawdzić, czy coś jest prawdziwym bursztynem?

Najuczciwszą odpowiedź brzmi: sprzedawca nie jest w stanie dać państwu stuprocentowego potwierdzenia. Od tego są rzeczoznawcy i laboratoria. W Polsce takim miejscem jest laboratorium bursztynu Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników w Gdańsku, nadzorowane przez naukowców. To bardzo ważne, bo istnieją też laborato-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aleksandra Harasiuk, była dyrektorka Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników, konsultantka biznesowa

ria, które nie są prowadzone w taki sposób, a badania wykonują samodzielnicy, którzy mogą potwierdzić właściwie wszystko. Każdy może więc wysłać wyrób albo pojechać do Gdańska i sprawdzić, czy ma do czynienia z bursztynem naturalnym, bursztynem modyfikowanym czy imitacją. Oczywiście można też wiele wyczytać z koloru i wyglądu. Stowarzyszenie Bursztynników opublikowało na ten temat sporo artykułów: o tym, czy zielony bursztyn jest naturalny, czym jest bursztyn koniakowy z charakterystycznymi pęknięciami w środku, który wielu osobom wydaje się naturalny. Literatura jest bardzo bogata. Mam duży szacunek do sprzedawców, ale to nie są osoby, które powinny być źródłem stuprocentowego potwierdzenia. Od tego są rzeczoznawcy gemmologiczni. Wielu sprzedawców chce doradzić jak najlepiej, ale wiedza na temat bursztynu w różnych miejscach bywa bardzo różna. Czasem niestety wprowadza kupujących w błąd.

Chciałabym zapytać także o ciemną stronę bursztynu: przemysł, nielegalne wydobycie,

cie, szarą strefę. Jak to wygląda?

To nie jest szara strefa. To jest czarna strefa, czyli przestępstwo. Przemysł jest przestępstwem. Nielegalne wydobycie jest przestępstwem. Wprowadzanie na rynek imitacji bursztynu jako prawdziwego bursztynu również jest oszustwem. Zdarza się na przykład, że producent kupuje worek surowca, a ktoś celowo dorzuca do niego imitację. To także jest przestępstwo. Trzeba spojrzeć na prawo, które obowiązuje w Polsce. Z kwestiami wydobywczymi ma do czynienia między innymi Ministerstwo Klimatu i Środowiska, te przepisy nie regulują jednak wszystkiego w sposób idealny. Jeśli ktoś ma własną działkę i zaczyna tam kopać bursztyn na swój użytek, powinien mieć zgodę odpowiedniego urzędu na prace wydobywcze. Czy wszyscy ludzie w Polsce to robią? Nie wiem. Czy zawsze jest to traktowane jako przestępstwo? To też nie jest takie proste. Przestępstwem było natomiast to, co działo się w szalonych latach 90., w pierwszej fali bardzo agresywnego kapitalizmu. Wtedy wiele grup przestępczych, korzystając

z braku regulacji i chaosu prawnego, rozkopywało lasy, plaże i różnego rodzaju działki bez żadnych pozwoleń. Zostawiano po sobie zniszczone tereny, które stawały się zagrożeniem dla ludzi, zwierząt, roślin i drzew. To były działania przestępcze. Wydaje mi się, choć nie jestem policjantką ani osobą pracującą w służbach, które to śledzą, że w Polsce na taką skalę właściwie już się tego nie robi. Mamy większą świadomość i wiemy, że grożą za to kary. Natomiast do Polski bursztyn nadal się przemycą. Sprawdzałam informacje z bilansu złóż kopalni w Polsce, publikowanego przez Państwowy Instytut Geologiczny. Są tam również dane służb celno-skarbowych. W latach 2015-2023 udaremniono w Polsce przemysł 18 ton bursztynu.

Stara się Pani o to, aby w Polsce powstał Instytut Bursztynu. Po co nam taki instytut?

Jestem jednoosobową lożybystką tego tematu. Spotkałam się już z kilkoma ministrami i przedstawicielami ministerstw, bo, jak wspomniałam, bursztyn to nauka, kultura, gospodarka i dyplomacja. W Polsce bursztynem zajmuje się

na co dzień dziewięć ministerstw i dwie kancelarie. Kancelarie dlatego, że przekazują bursztyn jako prezent dyplomatyczny. Dobrze byłoby więc, żeby wiedziały, jakiej jakości bursztyn przekazują. Muzea zajmują się bursztynem, bo kupują obiekty do swoich kolekcji. Ostatnia duża transakcja to 650 tysięcy euro za obiekt zakupiony przez Muzeum Bursztynu w Gdańsku, które jest instytucją samorządową miasta Gdańska. Instytut Bursztynu byłby dla mnie miejscem, które zrzeszałoby naukowców z całego świata zajmujących się bursztynem bałtyckim. To oni mogliby ustalić coś na kształt diamentowych 4C, czyli wspólną klasyfikację jakości bursztynu, którą stosowałyby różne kraje. Muszą to zrobić naukowcy, bo w bursztynie ocena wartości działa inaczej niż w diamentach. W diamentach inkluzje przeszkadzają, są traktowane jako nieczystość. Diament powinien być czysty. W bursztynie jest odwrotnie: inkluzja może podnosić wartość bryłki. Jeżeli w bursztynie znajdziemy bardzo rzadki okaz fauny albo flory, jego wartość rośnie. Przykładem jest jaszczurka zatopiona w bursztynie - niezwykle rzadka i cenna inkluzja. W bursztynie najczęściej zachowują się owady, pajęczaki czy fragmenty roślin, a drobne gady należą do prawdziwych unikatów. Taki instytut mógłby więc uporządkować chaos w ocenie bursztynu. Po drugie, archiwizowałby wiedzę, która jest dziś rozproszona między wieloma dziedzinami nauki. Po trzecie, dzieliłby się tą wiedzą ze światem. A świat tej wiedzy potrzebuje. Bardzo aktywne są dziś rynki azjatyckie, szczególnie Chiny, oraz rynki arabskie. W handlu bursztynem i obiektami z bursztynu obraca się tam ogromnymi pieniędzmi. Ale często brakuje instytucji, do której można się zwrócić po rzetelną, państwową, naukową ekspertyzę.

Chodzi więc nie tylko o promocję bursztynu, ale też o bezpieczeństwo rynku?

Tak jest. Mamy dziś bardzo palący problem: nie ma prawnego uregulowania czynności zawodowej rzeczoznawcy jubilerskiego, nie tylko od bursztynu, ale w ogóle od biżuterii, zegarków, diamentów czy kamieni szlachetnych. Cały luksusowy rynek w Polsce funkcjonuje w dużej mierze dzięki rzeczoznawcom, którzy są samodzielnymi. Teoretycznie dziś mogą się obudzić i powiedzieć: jestem rzeczoznawcą bursztynu. Mogę pójść do galerii sztuki albo muzeum i zaproponować, że będę pomagała wyceniać obiekty. Nie ma regulacji, a to może rodzić ogromne konsekwencje. Złazcza gdy mówimy o rzeczach bardzo drogich, kupowanych za pu-

bliczne pieniądze. Kolejna sprawa to konserwacja. Nie mamy wyspecjalizowanego ośrodka konserwacji artefaktów bursztynowych. Rosjanie mają to bardzo dobrze opanowane. Tymczasem bursztyn, przez swoje właściwości fizyczne i kruchość, a także przez niewłaściwe warunki ekspozycji, może ulegać zniszczeniu. Jeśli muzeum kupuje obiekt za ogromne pieniądze, musimy mieć zaplecze chemiczne i konserwatorskie, które pozwoli go zabezpieczyć. Konserwujemy przecież wszystkie inne zabytki. Bursztyn także tego wymaga, dlatego Instytut Bursztynu nie byłby tylko miejscem promocji. Byłby centrum nauki, klasyfikacji, ochrony rynku, ekspertyz, konserwacji i archiwizacji wiedzy. Potrzebujemy takiego zaplecza, jeśli naprawdę chcemy traktować bursztyn jako nasze dziedzictwo.

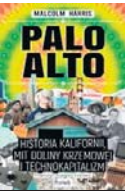
Czytałam, że nasz bursztyn cieszy się ogromnym powodzeniem w krajach arabskich. Dlaczego?

To są historie znane od tysięcy lat. Bursztyn trafił na tamte rynki już bardzo dawno temu. Peter Frankopan pisał o tym w „Jedwabnych szlakach”, także w kontekście dawnych szlaków niewolniczych. Według tych opisów bursztyn był przewożony razem ze Słowianami, którzy trafiali na tamte rynki jako niewolnicy. Był zupełnie inny niż znane im materiały wykorzystywane do zdobnictwa. A człowiek od tysięcy lat fascynował się tym, co świeci, co jest piękne, niezwykle, inne. Bursztyn ma też tę właściwość, że kiedy bierze się bryłkę do ręki, ona jest ciepła. Zachowuje się inaczej niż zwykłe minerały. To działało na wyobraźnię. Kiedy pojawiły się religie i modlitwa, bursztyn zaczął funkcjonować również jako materiał do przedmiotów religijnych. I dlatego dzisiaj jednym z najcenniejszych akcesoriów dla męczczyzn w krajach Bliskiego Wschodu są muzułmańskie różańce, czyli prayer beads. W krajach arabskich, zwłaszcza w sześciu państwach Rady Współpracy Zatoki Perskiej, mężczyźni potrafili wydawać na nie ogromne pieniądze. Bursztyn z Polski jest tam traktowany jako synonim super-luksusowego materiału. Nawet mniejsi kolekcjonerzy potrafili mieć po kilkaset takich różańców. Na bazarach, gdy wisi różaniec z bursztynu i jest przy nim informacja „made in Poland”, jego cena jest wyższa. Ich podejście do bursztynu to w ogromnej mierze właśnie zakup prayer beads, czyli kulek do modlitwy. W islamie odmawia się 99 imion Allaha i trzeba je sobie odliczać. Chrześcijaństwo później zaadaptowało podobną formę do własnych róż-

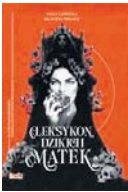
zańców. U nas różańce chrześcijańskie są dziś używane coraz rzadziej, natomiast w krajach arabskich te bursztynowe kulki nadal funkcjonują bardzo mocno. Rozmawiam z młodszyimi kolekcjonerami i widzę, że dla nich coraz częściej jest to także atrybut luksusu. Przeciętny bogaty Arab ma bardzo dobry zegarek, bardzo dobry samochód, czyli kluczyki do niego, i właśnie bursztynowy różaniec. To są trzy rzeczy, bez których nie wychodzi z domu.

Ma Pani pomysł, żeby odczarować bursztyn z wizerunku staromodnej zawieszki? Jak pokazywać go jako nowoczesny design, coś wartościowego i jednocześnie opowieść o Polsce?

Ale ja nie chcę odczarowywać bursztynu - niech on zostanie zaczarowany. Niech ma w sobie wszystkie legendy, historie i tajemnice. Chodzi o coś innego: o zbudowanie świadomości, że kupując bursztyn, zwłaszcza bursztyn naturalny, kupujemy kawałek historii. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata. Niezależnie od tego, czy mówimy o surowej bryłce, czy o obrobionym bursztynie. Jeśli chodzi o biżuterię, czyli już konkretne wyroby z bursztynu, wszystko zależy od świadomości, ale też od odpowiedzialności producentów. Mamy wielu twórców, którzy robią fantastyczne, nowoczesny design. Taki, w którym gdyby w miejsce bursztynu włożyć szafir, nadal byłaby to piękna biżuteria. Ale są też przedsiębiorcy, którzy traktują bursztyn jak tani surowiec i oprawiają go w tani design. Bez dobrego wzornictwa, bez myślenia o tym, czym dzisiaj może zachwycić współczesnego miłośnika biżuterii. Dlatego potrzebne są dwie rzeczy. Po pierwsze, świadomość klientów: co kupują i dlaczego kupują bursztyn. Po drugie, odpowiedzialność projektantów i producentów, żeby pokazywać bursztyn w sposób nowoczesny, ciekawy, atrakcyjny. Takie działania podejmowaliśmy w Stowarzyszeniu. Jeździliśmy po świecie i pokazywaliśmy wybrany design oraz twórców, którzy naprawdę robią fantastyczne rzeczy. Staraliśmy się też lokować bursztyn w filmach i serialach dzięki współpracy z kostiumografami. Bursztyn pojawił się między innymi w filmie „Miłość na pierwszej stronie” Marii Sadowskiej czy w serialu Polsatu „Bracia”, którego część zdjęć realizowano w Gdańsku i Trójmieście. Chodzi o to, żeby dzisiejszy klient zobaczył, że bursztyn nie musi być wielką, ciężką zawieszka znaną z dawnych lat - może być elementem bardzo dobrej, współczesnej biżuterii.



Na początku było Palo Alto
Palo Alto to serce Doliny Krzemowej, gdzie rozpoczęła się obecna cyfrowa rewolucja. Dlaczego wybuchła ona właśnie tam?
Malcolm Harris „Palo Alto. Historia Kalifornii, mit Doliny Krzemowej i technokapitalizm”, wyd. Prószywy, Warszawa 2026, cena 119 zł



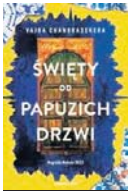
Macierzyństwo w dawnych legendach
Przewodnik po zachowanych w opowieściach portretach matek, ale nie znanych z naszej kultury, tylko odwołujący się do starych podań i legend.
Anna Lewicka, Klaudia Migacz „Leksykon dzikich matek”, wyd. Bosz, Olecko 2026, cena 99,90 zł



Być matką, być wolną
Napisana z rozmachem powieść osadzona w realiach USA lat 20. i 30. ubiegłego wieku. Historia hotelu dla kobiet w niechcianej ciąży staje się pretekstem do rozważań o cenie macierzyństwa.
Ann Patchett „Święta patronka kłamców”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 64,99 zł



Szukając wewnętrznego kameleona
Współczesna wariacja na temat starej maksymy „Panta rhei” („Wszystko płynie”). Autorka tłumaczy, w jaki sposób adaptować się do rzeczywistości w dobie technologicznych zmian.
Andrea Clarke „Adaptuj się”, wyd. Studio Emka, Warszawa 2026, cena 49 zł



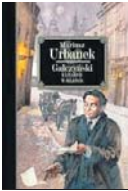
Świat, który wymyka się spod kontroli
Jak będzie wyglądała rewolucja w przyszłości? Ta powieść science fiction jest próbą odpowiedzi na to pytanie. Opowieść o świecie, który wymyka się spod kontroli.
Vajra Chandrasekera „Święty od papuzich drzwi”, wyd. Czarna Owca, Warszawa 2026, cena 59,99 zł



Krótkie momenty, przelotne chwile
„W życiu piękne są tylko chwile” – śpiewał zespół Dżem. Ta powieść jest wariacją na temat tego szlagwortu. Wariacją, w której bardziej słychać nuty minorowe niż wesołe dźwięki.
Virginie Grimaldi „Ulotne chwile”, wyd. Sonia Draga, Katowice 2026, cena 54,90 zł



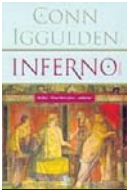
Smaczne i proste dania z grilla od Olivera
Nowa książka słynnego kucharzennego gwiazdora z Wielkiej Brytanii. Tym razem Jamie Oliver przedstawia autorskie interpretacje dań na grilla. Jak zwykle u niego: smacznie i prosto.
Jamie Oliver „Grill”, wyd. Insignis, Kraków 2026, cena 84,99 zł



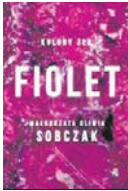
Teatrzyk „Zielona Gęś” przedstawia
Biografia Konstantego Gałczyńskiego – poety, którego nazwisko zna prawie każdy, ale mało kto wie właściwie, dlaczego. Ta książka to okazja do zrozumienia, na czym polegała jego wyjątkowość.
Mariusz Urbanek „Gałczyński. Kanarek w klatce”, wyd. Iskry, Warszawa 2026, cena 74,90 zł



Krajewski przeprowadza się do Wałbrzycha
Najlepszy współczesny autor kryminałów w Polsce rozpoczyna nową serię. Nowym bohaterem Krajewskiego jest psychiatra Herbert Anwaldt, a akcja rozgrywa się w Wałbrzychu.
Marek Krajewski „Droga krwi”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 54,99 zł



Na dworze Nerona aż gęsto od intryg
Pałac cesarza antycznego Rzymu był prawdziwym siedliskiem zmił. Intrygi na dworze cesarza Nerona to serce tej powieści. Wierne odtworzone realia starożytnej epoki.
Conn Iggulden „Neron. Inferno”, wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 49,99 zł



Bestialskie morderstwo bez wyjaśnienia
Najnowszy tom bestsellerowej serii thrillerów Sobczak. Kolejne tajemnicze morderstwo, którego sensu prokuratorzy nie są w stanie w ogóle zrozumieć.
Małgorzata Oliwia Sobczak „Kolory zła. Fiolet”, wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 59,99 zł



Bohater lat zimnej wojny
W jednym tomie komiksy o Hellboyu po raz pierwszy opublikowane w latach 50. Komiks z lat zimnej wojny miał swoją specyfikę – teraz można ją sobie przypomnieć.
Mike Mignola, Chris Roberson „Hellboy i BBPO. 1955-1957”, wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 179,99 zł

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 94 347 35 12

Przez internet: ibo.polskapress.pl

W Biurze Ogłoszeń:

Oddział Koszalin:

ul. Partyzantów 17, 75-411 Koszalin, tel. 94 347 35 12

Oddział Słupsk:

ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk, tel. 59 848 81 03

Oddział Szczecin:

Al. Niepodległości 26/U1, 70-412 Szczecin, tel. 91 48 13 310

RUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH:

- NIERUCHOMOŚCI
- HANDLOWE
- MOTORYZACJA

- FINANSY/BIZNES
- NAUKA
- PRACA

- ZDROWIE
- USŁUGI
- TURYSTYKA

- BANK KWATER
- ZWIERZĘTA
- ROŚLINY, OGRODY

- MATRYMONIALNE
- RÓŻNE
- KOMUNIKATY

- ŻYCZENIA /PODZIĘKOWANIA
- GASTRONOMIA

- ROLNICZE
- TOWARZYSKIE

Nieruchomości

DOMY - SPRZEDAM

SPRZEDAM domek letniskowy (pół bliźniaka) z pełnym wyposażeniem nad jez. Długie w Krągu od strony drogi do Polanowa. Pow. 35m² z krytym tarasem. Współwłasność pomostu. Metalowy magazynek, łódka z siln. elek. na nowej przyczepce oraz rower elektryczny GANT. tel. 606-675-025.

LOKALE UŻYTKOWE - KUPIĘ

KUPIĘ Twój problem z udziałem w nieruchomości, spadku ! Nie wiesz co robić, nie dogadujesz się z rodziną, współwłaścicielem? Sprzedaj mi swój udział ! 602738759

GOSPODARSTWA

SPRZEDAM ziemię rolną: pszenrol. com.pl

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek. Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MALOWANIE elewacji remonty, wykończenia wnętrz 695-648-429.

MALOWANIE_DACHÓW. 788-016-988.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/ rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

ŁĘBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

AUTOREKLAMA
ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →



Strona Kuchni



Wszystkie smaki kuchni

stronakuchni.pl

TURYSTYKA

Jak efektywnie zaplanować tydzień w Bieszczadach

Ze wszystkich wydanych ostatnio przewodników po Bieszczadach, wszelakich informatorów i bedekerów, ten – autorstwa Adriana Markowskiego – wydaje się najpraktyczniejszy. Markowski, pisarz i poeta, autor „Bieszczadów dla tych, którzy lubią chodzić własnymi drogami” i „Bieszczadów dla tych, którzy chcą je poznać naprawdę”, opracował nie tylko nowy zbiór tras i wskazówek. Jego książka to kompleksowa opowieść, która pozwala dotknąć historii, kultury i niezwykłej przyrody Karpat.

Maszeruj, jedź, podziwiał

Istotą przewodnika Markowskiego jest szczegółowy plan na siedem dni, oferujący po siedem wycieczek górskich. Każda z nich przedstawiona jest w dwóch wariantach, co daje swobodę wyboru i możliwość dostosowania trasy do kondycji turysty czy warunków pogodowych. Dołączone mapy ułatwiają orientację w terenie, a klarowne opisy sprawiają, że nawet początkujący wędrowiec poczuje się pewnie na szlaku.

Ale Bieszczady to nie tylko trekking – Markowski zabiera nas także na wyprawy pieszo-samochodowe, które pozwolą odkryć różnorodność tego regionu. W programie m.in. podróż nad Solinę, do Łopienki, poszukiwania śladów nieistniejących wsi, podróż szlakiem dawnych cerkwi, przejażdżka Bieszczadzką Kolejką Leśną. Pozwala to zobaczyć góry z różnych perspektyw, od malowniczych krajobrazów po poznanie – jak uwielbiają pisać afektowani dziennikarze – „pozostałości dziedzictwa kulturowego”. Czyli, mówiąc ludzkim językiem, tego, co zostało po Łemkach.

Odwiedź Łupków

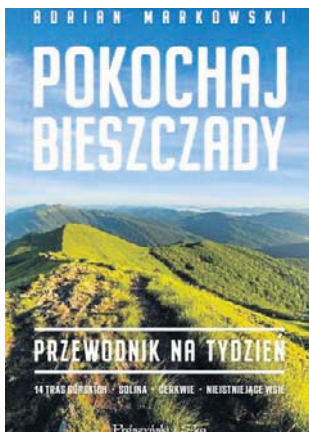
Jak każdy przewodnik, także ten Markowskiego zawiera tzw. informacje praktyczne i logistyczne: gdzie zjeść, gdzie dzwonić w razie wypadku, gdzie zatankować paliwo i gdzie kupić bilet na kolejkę i do BdPN.

Autor nie ustrzegł się też nieścisłości, a właściwie niedopatrzenia. W dziale noclegów („przydatne adresy”), podaje siedem lokalizacji, m.in. baczówkę PTTK pod Honem, Kolibę Politechniki Warszawskiej koło Bereżek i Chatę Socjologa na Otrycie, ale nie podaje schroniska w Łupkowie Starym. Być może dlatego, że to miejsce w najbardziej zachodniej części Bieszczadów, zatem relatywnie rzadko odwiedzane.

Szkoda. Tamtejsze schronisko, położone na terenie byłej osady Stary Łupków w dolinie potoku Roztoka, na wysokości ok. 580 m n.p.m., to dość wyjątkowe miejsce. Jego początki sięgają 1979 roku, kiedy to Almaturo odkupił od Zakładu Karnego w Łupkowie Nowym niedokończoną chatę wraz z budynkiem owczarni (spłonęła w 1996 r.). Pierwsi gospodarze zamieszkali tam ok. 1982 r.

Schronisko czynne jest cały rok, posiada 24 miejsca noclegowe, a obok obiektu znajduje się pole namiotowe. Schronisko jest nastawione na obsługę ruchu turystycznego pieszego, rowerowego, narciarskiego, a nawet – co Bieszczadach stało się już normalnością – konnego.

margra



Adrian Markowski, „Pokochoj Bieszczady. Przewodnik na tydzień”, wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2026, cena 49,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

ROKSANA WĘGIEL

Znalazła idealne miejsce

W Dzień Dziecka piosenkarka przekazała fanom radosną nowinę – oficjalnie rozpoczyna budowę własnego gniazdeka. Z tej okazji opublikowała w sieci fotografię, na której widać ją z rozłożonym planem domu na tle leśnego krajobrazu. - Pod Warszawą jest ta działka. Taka odległość bezpieczna. Do pracy można dojechać, ale to jest totalnie inny świat. Tam czas inaczej leci. My też w sumie dość długo szukaliśmy takiego idealnego miejsca. - powiedziała w rozmowie z Radiem Eska. I dodała: - Dom to niekończąca się historia, tak mi wszyscy mówią. Ciekawe jestem, jak to wszystko wyjdzie, ale mam mnóstwo inspiracji. Projekt jest w fazie wykończenia. Czekamy na spokojnie, bez presji będziemy sobie budować ten dom.

IZABELA JANACHOWSKA

Spełniła marzenie syna

Celebrytka już wkrótce powita na świecie drugie dziecko. I oczywiście chętnie dzieli się z internautami ważnymi chwilami ze swego życia. Tym razem postanowiła pokazać na Instagramie nagranie, na którym można zobaczyć, jak wraz z mężem przekazuje synowi wiadomość o swej ciąży. Dumni rodzice przygotowali dla siedmioletniego Chrisa specjalne pudełko w kształcie serca, w którym znalazły się symboliczne drobiazgi: smoczek, skarpetki, a także niemowlęce body. Na nagraniu widać zaskoczenie i radość chłopca, który wyznaje, że chciałby mieć młodszego brata. „Aż mi serce mięknie, kiedy na to patrzę. Chris od dłuższego czasu wspominał, że marzy o młodszym rodzeństwie” – napisała gwiazdka pod nagraniem.

MAŁGORZATA ROZENEK-MAJDAN

Świętowała w łóżku

1 czerwca wypadły 48. urodziny celebrytki. Radosław Majdan nie omieszczał opublikować na Instagramie specjalnego filmiku, na którym można zobaczyć, jak wraz z synem Heniem składają jej życzenia.



FOT. SYLVIA DĄBROWA

Izabela Janachowska spodziewa się drugiego dziecka i już poinformowała syna, że ten będzie mieć rodzeństwo

czenia. Gwiazda TVN otrzymała od ukochanego i synka ogromne bukiety z biało-różowych hortensji ogrodowych. Nie zabrakło również uścisków i całusów. Także sama solenizantka udokumentowała swe święto na Instagramie. „Takie urodziny sobie wymarzyłam. W łóżku. W piżamie. Bez pędu. Od rana rozmawiam z cudownymi, życzliwymi ludźmi, którzy życzą mi jak najlepiej. Czytam wiadomości, odbieram telefony i myślę sobie, jakie mam szczęście. Jestem szczęśliwa, spełniona i otoczona wspianymi ludźmi” – napisała.

SKOLIM

Pokrzepia polskie serca

Jest nową gwiazdą rodzimej estrady, łączącą w swych przebojach disco polo z elementami latino. Zyskało to ogromną popularność. Tylko w wakacje Skolim zagra 150 koncertów, za które może każdorazowo dostać 75 tys. zł. To oznacza, że tylko w lecie zarobiłby w tym roku ponad 11 milionów złotych. Zainkasowane pieniądze lokuje z rozmachem: w luksusowe auta, własną stację benzynową, a ostatnio także w pensjonat nad morzem. - Moja stawka za koncert jest najwyższa w Polsce. Przyciągam ludzi, bawię ludzi, pokrzepiam polskie serca. Czasem dla kogoś do wódeczki, czasem dla kogoś w samochodzie na lepszy humor, a czasem po prostu na randkę, na pierwszy taniec – tłumaczy swój sukces „Super Expressowi”.

DODA

Nie umrze szybko

Podczas niedawnego wywiadu dla Kozaczka, dziennikarka serwisu spytała ją o... testament. Doda przyznała, że jeszcze nie spisała odpowiedniego dokumentu. Okazało się jednak, że wie już komu przekazać swój okazały majątek. - Na pewno oddam większość na zwierzęta. Nie mam swoich dzieci, więc zapewne na dzieci mojego menadżera, który jest mi jak brat i zawsze się mną opiekuje, zawsze jest na każde zawołanie. Ale ja nie zamierzam umierać jakoś szybko. Ja wiem od zawsze, czuję, że będę bardzo długo żyła. Pochodzę z rodziny długowiecznej, więc myślę, że będę żyła 100 lat - stwierdziła.

PIOTR GĄSOWSKI

Stworzył relację

Aktor, który ma za sobą dwa wieloletnie, nieformalne związki, utrzymuje bardzo dobre kontakty z matkami swoich dzieci. Ostatnio na profilu Gąsowskiego pojawił się wpis poświęcony Hannie Śleszyńskiej i relacji, jaką udało im się zachować po rozstaniu. Okazja była nietypowa - 25. rocznica zakończenia ich związku. „Można stworzyć przepiękną, czułą relację po rozstaniu. Trzeba tylko bardzo chcieć, otrząsnąć się, głęboko zakopać swoje ambicje czy wzajemne pretensje” - napisał aktor.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Działaj śmiało, lecz słuchaj intuicji. Horoskop dzienny zapowiada, że krótka rozmowa otworzy dziś drzwi do ciekawej współpracy.

Ryby (19.02 - 20.03)

Spokój będzie atutem. Horoskop na dziś wyraźnie zapowiada, że wieczór przyniesie bardzo miłą niespodziankę.

Baran (21.03 - 19.04)

Nowe informacje zmieniają perspektywę. Horoskop dzienny na piątek mówi, że warto zadawać pytania i uważnie słuchać odpowiedzi...

Byk (20.04 - 20.05)

Potrzeba bliskości wzrośnie. Horoskop dzienny wróży, że czas dla rodziny pozwoli Ci odzyskać równowagę.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Twoja pewność siebie przyciągnie ludzi. Horoskop na dziś radzi pamiętać jednak, by zostawić również miejsce na dialog.

Rak (22.06 - 22.07)

Precyzja zaprocentuje. Horoskop dzienny na piątek mówi, że detal okaże się kluczem do rozwiązania problemu.

Lew (23.07 - 22.08)

Szukaj harmonii zamiast pośpiechu. Horoskop dzienny wróży, że dobra organizacja pozwoli uniknąć zbędnego napięcia. Zachowaj rytm.

Panna (23.08 - 22.09)

Emocje będą intensywne, lecz konstruktywne. Skieruj je na ambitny i twórczy cel. Horoskop na dziś mówi, że efekt przyjdzie wkrótce.

Waga (23.09 - 22.10)

Ciekawość świata poprowadzi do inspiracji. Horoskop dzienny na piątek radzi nie odrzucać propozycji spontanicznego spotkania.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Konsekwencja przyniesie efekty. Horoskop dzienny zapowiada, że ktoś ważny zauważy Twoje starania...

Strzelec (22.11 - 21.12)

Nietypowy pomysł zasługuje na uwagę. Horoskop na dziś radzi zaufać kreatywności i wykonać pierwszy krok. Rozwijaj śmiało wizję.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Wrażliwość pomoże zrozumieć innych. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że szczerza rozmowa poprawi relację i nastrój.

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą rozwiązanie: mądrość ludową.

ROZWIĄZANIE: PROZNO SIĘ TRUDZI, KTO NIE ZNA LUDZI.

Wiśniewski uratował nas przed porażką z Nigerią

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacji Polski ledwo udało się zremisować w meczu towarzyskim z Nigerią 2:2. Remis uratował strzałem życia Przemysław Wiśniewski w doliczonym czasie gry.

Postawa Biało-Czerwonych w spotkaniu z Afrykańczykami była bardzo słaba i gdyby nie bramka obrońcy Widzewa Łódź, atmosfera byłaby jeszcze gorsza.

Polacy kilka dni temu, w meczu z Ukraincami (0:2), zagrali, jakby już czekali na wakacje. W środowy wieczór rywalem w Warszawie były „Super Orły”, czyli trzecia drużyna ostatniego Pucharu Narodów Afryki.

W pierwszych dwudziestu minutach gra zespołu Jana Urbana w była dość obiecująca. W 21. minucie meczu, Robert Lewandowski, zagrał piętą do Karola Świderskiego, któremu odskoczyła piłka i gdy próbował do niej dopaść, został ewidentnie nadepnięty przez rywala. Rumuński sędzia Alexandru Barbu nie podyktował jednak rzutu karnego. Dwie minuty później Nigeria przeprowadziła atak i piłkę do bramki Kamila Grabary skierował Terem Moffi. Sędzia przez chwilę zastanawiał się, czy uznać gola, ze względu na potencjalnego spalonego, ale po analizie VAR zaliczył bramkę. Gdy wydawało się, że Biało-Czerwoni będą schodzić na przerwę, przegrywając, wyrównał młodziutki obrońca Mainz Kacper Potulski.

Kwadrans przed końcem meczu wydawało się, że Polacy są bliżsi zdobycia drugiej bramki. Ale jedna z nielicznych akcji rywali zakończyła się



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Obrońca Widzewa Przemysław Wiśniewski strzałem rozpaczy z dystansu uratował Polskę przed porażką

przypadkowym kontaktem piłki z przedramieniem Kacpra Kozłowskiego i rzutem karnym, podyktowanym po analizie VAR. „Jedenastkę” wykorzystał w 77. minucie Paul Onuachu. Gdy zanosilo się na trzecią z rzędu porażkę Biało-Czerwonych, w doliczonym czasie gry Przemysław Wiśniewski zdecydował się na strzał rozpaczy z kilkudziesięciu metrów i piłka wpadła do siatki.

Gra reprezentacji z Nigerią przez większość kibiców i dziennikarzy została oceniona bardzo źle. Ale selekcjoner Urban miał inne zdanie. Wyznał po spotkaniu, że uważa ten mecz za całkiem dobry w wykonaniu jego kadry.

gnęli wnioski na mecz z Nigeryjczykami.

W porównaniu do meczu z Ukrainą to spotkanie było naprawdę dobre i na tym musimy bazować, musimy się rozwijać i ciągle uczyć. Jeśli krytyka jest konstruktywna, to trzeba z niej wyciągać wnioski, nie obrażać się i słuchać głosu innych ludzi. My mieliśmy taką szczerą analizę razem z trenerem i wydaje mi się, że wyciągnęliśmy te wnioski. Małe detale są bardzo ważne – oznajmił.

Zdanie Bednarka o nauce nie jest zbyt optymistyczne, biorąc pod uwagę, gdzie na co dzień grają liderzy polskiej kadry i jaki sezon rozegrali, w tym on sam w barwach Porto.

Reprezentacja Polski rozjeżdża się na wakacje, bo nie zagra na mundialu 2026. Kolejne mecze drużyny narodowej odbędą się jesienią. Rywalami w drugiej dywizji Ligi Narodów, będą: Szwecja, Rumunia oraz Bośnia i Hercegowina.

POLSKA - NIGERIA 2:2 (1:1)

Bramki: dla Polski - Kacper Potulski (45+1), Przemysław Wiśniewski (90+5), dla Nigerii - Terem Moffi (23), Paul Onuachu (77-karny).

Żółte kartki: Polska - Bartosz Slisz, Robert Lewandowski; Nigeria - Abdullahi Bewene, Raphael Onyedika. **Sędzia:** Marian Barbu (Rumunia). **Widzów:** 54 408.

Polska: Kamil Grabara - Przemysław Wiśniewski, Jan Bednarek, Kacper Potulski (82. Jakub Kiwior) - Sebastian Szymarński (62. Kacper Kozłowski), Jakub Kamiński, Bartosz Slisz, Piotr Zieliński (90. Karol Czubak), Nicola Zalewski (90. Oskar Pietruszewski) - Robert Lewandowski, Karol Świderski (62. Norbert Wojtuszek).

Nigeria: Maduka Okoye - Abdullahi Bewene, Igoh Ogbu (46. Calvin Bassey), Emmanuel Fernandez (46. Semi Ajayi), Bruno Onyemaechi (46. Zaidu Sanusi) - Wilfred Ndidi, Frank Onyeka (46. Raphael Onyedika), Tochukwu Nnadi (46. Rafiu Durosinmi), Moses Simon (63. Fisayo Dele-Bashiru) - Akor Adams (46. Philip Otele), Terem Moffi (46. Paul Onuachu).

© P

Polskie siatkarki z dwoma zwycięstwami na starcie Ligi Narodów w Nankin

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

SIATKÓWKA. Polskie siatkarki pokonały Czeszki 3:0 (25:22, 25:22, 25:20) w swoim drugim meczu turnieju Ligi Narodów w chińskim Nankin. Dzień wcześniej wygrały z Belgijkami 3:2.

Czeszki w środę niespodziewanie pokonały gospodynie turnieju bez straty seta, co z pewnością mocno je podbudowało przed spotkaniem z Polkami. Początek jednak należał do Biało-Czerwonych, które rozpoczęły w identycznym składzie jak dzień wcześniej przeciwko Belgijkom.

Od pierwszych akcji skutecznością w ataku imponowała Martyna Łukasik, a po serii mocnych zagrywek Julii Szczurowskiej podopieczne Stefano Lavariniego prowadziły 8:4. Potem oba zespoły miały lepsze i gorsze momenty, Czeszki kilka razy pomyliły się w polu serwisowym, co nie pomagało im zniwelować strat.

W drugiej partii, po wyrównanym początku, Polki szybko przejęły inicjatywę. Odblokowała się Szczurowska, która dzień wcześniej poprowadziła reprezentację do zwycięstwa nad Belgijkami, punkty dokładały też środkowe.

Najbardziej wyrównany charakter miała trzecia partia. Coraz lepiej wyglądała współpraca Katarzyny Wenerskiej z Anną Obiałą, nadal skuteczne były Monika Lampkowska i Łukasik, jednak rywalki też poprawiły swoją grę. W ostatnich akcjach nie zawiodły Łukasik, najsukceszniejsza zawodniczka spotkania (15 punktów) oraz Lampkowska, która udana kiwka zdobyła swój 13 punkt.

– Miłe, że z dnia na dzień gramy lepiej i poprawiamy różne elementy. Było lepiej niż dzień wcześniej – mówiła najlepsza na parkiecie Łukasik.

Kolejnymi rywalkami będą Serbki – dzisiaj to jest w piątek, 5 czerwca o godzinie 13.30 i Chinki w niedzielę, 7 czerwca o godzinie 13.00.

© P



FOT. FIVB

Atakująca Martyna Łukasik była najlepszą siatkarką na parkiecie w meczu Polska - Czechy w Nankin

Podwójne żużlowe Grand Prix w Manchesterze - powtórka z rozrywki?

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

ŻUŻEL. W piątek na torze w Manchesterze odbędzie się trzecia, a w sobotę już czwarta runda walki o indywidualne mistrzostwo świata na żużlu - Grand Prix Wielkiej Brytanii.

Po dwóch rundach żużlowego Grand Prix 2026 na czele klasyfikacji generalnej jest Bartosz Zmarzlik, który walczy o historyczny siódmy tytuł indywidualnego mistrza świata. W Land-

shucie oraz Pradze sześciokrotny mistrz świata stawał na najniższym stopniu podium i z 32 punktami na koncie o jedno „oczko” wyprzedza rewelacyjnego debiutanta w cyklu Kacpra Worynę.

Za plecami Polaków jest Australijczyk Brady Kurtz, którego pasjonująca walka ze Zmarzlikiem była ozdobą ubiegłego sezonu.

W nadchodzący weekend najlepsi żużlowcy świata wystartują na torze, który umożliwia wiele mijanek, co jest gwarantem świetnej rywalizacji.

Jeszcze przed rozpoczęciem rywalizacji organizatorzy musieli ogłosić kolejne zmiany na liście startowej. Oficjalnie potwierdzono, że z podwójnej rundy SGP Wielkiej Brytanii wycofał się Fredrik Lindgren, który nabawił się kontuzji polskiej lidze, w meczu w Lesznie.

Miejsce szwedzkiego żużlowca zajmie Kai Huckenbeck. Niemiec był trzecim rezerwowym całego cyklu, ale wcześniej swoich szans doczekali się już Duńczyk Anders Thomsen oraz Czech Jan Kvech. Obaj zastępują kontuzjowanych Bry-

tjczyka Dana Bewleya (złamał kość udową i doznał zgniecenia kręgu lędźwiowego w lidze duńskiej) i Dominika Kubere (złamał obojczyk w lidze szwedzkiej i obecnie przechodzi rehabilitację po operacji).

Poprzednie Grand Prix Wielkiej Brytanii na torze Bellu Vue w Manchesterze były fenomenalnymi widowiskami, w których zwycięstwa odnieśli obecnie kontuzjowany reprezentant gospodarzy Dan Bewley, a dzień później Zmarzlik. Ubiegłoroczny podwójny weekend był uznawany za jeden z naj-

bardziej widowiskowych momentów sezonu.

Obie tegoroczne rundy w Manchesterze będzie można obejrzeć w Eurosporcie 3, Playerze oraz w HBO Max. Transmisje rozpoczną się o godzinie 19.30 (w piątek o 15.00 zostaną rozegrane też kwalifikacje).

Zmagania skomentuje niezawodny duet Michał Korościel - Marcin Kuźbicki. Reporterką będzie Marcelina Rutkowska-Konikiewicz, z kolei w studiu gośćmi Sebastiana Szczęsnego będą Piotr Protasiewicz oraz Rafał Lewicki.

KLASYFIKACJA PO DWÓCH SGP

1. Bartosz Zmarzlik - 32 pkt., 2. Kacper Woryna (obaj Polska) - 31, 3. Brady Kurtz (Australia) - 26, 4. Leon Madsen (Dania) - 21, 5. Jack Holder (Australia) - 21, 6. Robert Lambert (Wielka Brytania) - 20, 7. Jason Doyle (Australia) - 19, 8. Daniel Bewley (Wielka Brytania) - 18, 9. Dominik Kubera (Polska) - 17, 10. Michael Jepsen Jensen (Dania) - 16, 11. Patryk Dudek (Polska) - 15, 12. Andrzej Lebiediew (Łotwa) - 14, 13. Fredrik Lindgren (Szwecja) - 12, 14. Max Fricke (Australia) - 10, 15. Nazar Parnicki (Ukraina) - 8, 16. Anders Thomsen (Dania) - 4, 17. Norick Bloedorn (Niemcy) - 4, 18. Jan Kvech (Czechy) - 3, 19. Adam Bednar (Czechy) - 1, 20. Kevin Woelbert (Niemcy) - 0.

© P

SPORT

www.sportowy24.pl

W Szczecinie serce bije mocniej

Jakub Lisowski
sport@gs24.pl

PIŁKA NOŻNA. 18 lat byłem w Pogoni, więc moja krew jest granatowo-bordowa i tak już zostanie - mówi Mariusz Misiura, wychowanek Pogoni, który obecnie pracuje w Płocku.

Mariusz Misiura to wychowanek Pogoni Szczecin. W niej zadebiutował w ekstraklasie wiosną 2002 (w spotkaniu z Polonią Warszawa). Trafił jednak na okres rozpadu klubu, co dla niego oznaczało - wprowadzkę, grę w niższych ligach w Polsce i Niemczech, a na dobrą sprawę szybsze zakończenie kariery piłkarza, a postawienie na trenerkę. Ta ścieżka też jest interesująca, bo fachu uczył się m.in. w Chinach. Po powrocie do Polski prowadził Wartę Gorzów, Znicz Pruszków, a od trzech sezonów Wisłę Płock. Nafciarzy wprowadził do elity, jesienią drużyna była rewelacją rozgrywek, a wiosną solidnym ligowcem. Były kryzysy, mówiło się, że straci posadę, ale przetrwał i będzie szykował Wisłę do kolejnego sezonu.

Jest Pan bardzo zaskoczony tym, co się ostatecznie wydarzyło w polskiej piłce: Lech mistrzem, na podium Górnik i Jagiellonia. Puchar Polski dla Górnika. Spadają Termalica, Arka i Lechia. Mariusz Misiura: Wydaje mi się, że ta pierwsza piątka, to z perspektywy całego sezonu potrafiła utrzymać w miarę

dobry rytm, który pozwolił im nie tracić punktów w tych decydujących momentach. Szczególnie w ostatnich dzieściu kolejkach byli najbardziej regularni. Dla mnie dużym zaskoczeniem jest spadek Lechii Gdańsk, bo patrząc na ich grę, patrząc, jakim dysponowali składem, jaką jakością, to na pewno jest to takie duże zaskoczenie.

Jeśli pięć kolejek przed końcem rozgrywek nie wiemy, kto jest mistrzem, kto spada, to, to jest dobre dla ligi, jej dla rozwoju? Czy jednak właśnie powinny być takie lokomotywy, nadawałyby rytm zmaganiom.

Tak naprawdę wnioski będzie można wyciągnąć po wynikach naszych drużyn w europejskich pucharach. Poczekajmy na to. Wcześniej już mieliśmy sytuację, że były zespoły, które dominowały, ale to się nie przekładało na to, że te zespoły w pucharach zdobywały nie wiadomo jak wysokie miejsca. Często to się kończyło na 1/8 finału, czy nawet fazie grupowej, a część nawet nie przechodziła eliminacji. Skoro więc ostatni sezon był wyrównany, poziom rozgrywek ciekawy, trzymający w napięciu, to oby to się przełożyło choćby na przygotowania naszych drużyn do gry w Europie. Jeżeli za dwa, trzy lata której z naszych drużyn uda się osiągnąć w Lidze Konferencji półfinał, jeżeli regularnie będziemy dochodzili do ćwierćfinału, jeżeli uda nam się wejść

KOSZYKÓWKA

Pierwszoligowa Kotwica Port Morski Kołobrzeg ogłosiła kolejny transfer do klubu.

Kontrakt podpisał 25-letni rozgrywający (181 cm wzrostu) Mateusz Kaszowski. Seniorską karierę Kaszowski zaczynał w Arce Gdynia. Grał w II lidze i PLK. Na poziomie I ligi reprezentował

Żaka Koszalin, Deckę Pelplin, Astorię Bydgoszcz, a przez ostatnie dwa sezony Sokoła Łańcut. Notował średnio 11,2 punktu, 4,7 asysty oraz trafił 33,9% rzutów za trzy.

- Do Kotwicy trafia zawodnik, który potrafi zdobywać punkty, kreować grę i brać odpowiedzialność za organizację ataku - głosi komunikat kołobrzесьkiego klubu. Wkrótce kolejne transfery.

KOSZYKÓWKA

Ekstraklasowy King Szczecin mocniej przebuduje skład przed nowym sezonem.

Klub podjął decyzję o zakończeniu współpracy z rozgrywającym Jovanem Novakiem (Serbia) oraz środkowym Ondrejem Hustakiem (Czechy).



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Mariusz Misiura przed meczem Pogoni z Wisłą Płock

do Ligi Europy, to wtedy będzie to wyznacznik, że ta wyrównana polska liga pomaga nam się lepiej do tej Europy przygotować. Patrząc na wyniki ostatnich lat w Europie, to widać, że dominacja w polskiej ekstraklasie, nie przekładała się na późniejszą udaną grę w Europie.

Runda jesienna nie decyduje, choć wyznacza pewne kierunki dla zespołów. Wiosną wszystko można nadrobić lub dużo stracić. Przykładem jest i Wisła Płock i GKS Katowice. To oczywiście wynika z faktu, że teoretycznie najsilniejsze zespoły, uczestnicy europejskich pucharów na początku sezonu grają na kilku frontach. Właśnie wtedy zespoły troszczkę rozkładają siły, często nastawiają się właśnie na grę

w pucharach, a w lidze nie wychodzą najsilniejszym zespołom i tracą punkty. Konsekwencją później tego jest, że w drugiej rundzie muszą odrobić straty. Ten sezon właśnie taki był. Ja sam jestem ciekaw, jak będzie wyglądał następny. Dwa bardzo dobre zespoły, które wchodziły do ekstraklasy - Wisła Kraków, Śląsk Wrocław. Dołączy też mocna kadrowo i finansowo Wieczysta Kraków. Beniaminkowie z bardzo dużymi budżetami, więc wydaje mi się, że tych pieniędzy w ekstraklasie będzie jeszcze więcej. Przez to poziom sportowy będzie jeszcze lepszy, a więc pójdzie to wszystko jeszcze bardziej do przodu.

W trakcie rundy wiosennej pojawiły się głosy, że Pogoń powinna Pana zatrudnić

w roli nowego trenera. To było miłe?

Na pewno były i są to bardzo miłe głosy, że ktoś mnie rozpatruje w kontekście pracy w klubie. Ja jestem naprawdę bardzo szczęśliwy w Wiśle Płock, bo to, jakim mnie obdarzono zaufaniem, to jakie mam świetne relacje z kibicami, to jakie wyniki udaje nam się przez te dwa sezony zrobić, to ja naprawdę jestem wdzięczny Wiśle Płock. Na razie sam stamtąd nigdzie się nie wybieram. A w Szczecinie mieszkają moi rodzice, dosłownie 800 metrów od stadionu. Spędziłem tutaj 18 lat, pokonywałem wszystkie kategorie wiekowe, by dołączyć i zagrać w pierwszym zespole Pogoni, więc za każdym razem, kiedy tutaj jestem to serce bije mocniej. Zobaczymy, co przyniesie przyszłość. 18 lat byłem w Pogoni, więc moja krew jest granatowo-bordowa i tak już zostanie. Co się wydarzy w przyszłości? Zobaczymy. Zaznaczę: pracuję w Płocku, jestem tam bardzo szczęśliwy. Chcę dalej tam kontynuować swoją pracę.

Mimo tych wiosennych plotek, że wiosną straci Pan robotę? Były takie głosy po kilku nieudanych występach. Chyba zapocentrowało to, że jesienią bardzo Pan edukował i klub, i kibiców, i społeczność Płocka, w zakresie np. jak trzeba podchodzić do ligi, jak do kolejnych spotkań...

Bardzo bym chciał, byśmy w Polsce przestali oceniać

pracę szkoleniowców na podstawie bardzo krótkich okresów pracy. Przegra trzy, cztery mecze i jest do zwolnienia, nie przegra trzech, czterech meczów i jest dobry, chwalony. Musimy w jakiś sposób brać wzorce z silniejszych lig w Europie, dać pracować trenerom i wierzyć, że właśnie w Płocku tak jest, że mimo 5 porażek przyszedł do mnie prezydent miasta, przyszedł do mnie prezes i zapewniali, że cały czas mam wsparcie, cały czas we mnie wierzą i dlatego jestem im za to wdzięczny. Dlatego chcę tam dalej pracować.

Wspomniał Pan, że mocni beniaminkowie pokażą się w lidze, ale w Szczecinie liczymy, że Pogoń się przebudzi i to na dobre. Mamy jeszcze z dużymi ambicjami Legię, Widzew. Zapowiada się znowu ciekawy sezon, ale czy w Pana ocenie Pogoń powróci do czołówki? Jest na to szansa?

Kluczem jest dobra praca, dobra selekcja zawodników, dobre przygotowanie drużyny, obranie dobrej strategii meczowej, więc bardzo dużo jest zależności, dużo obszarów, a wszystkie trzeba dobrze zagospodarować, żeby później osiągnąć wynik sportowy. Czasami budżet, ktoś, kto ma dużo pieniędzy, ma łatwiej, a czasami ktoś kilkakrotnie tę złotówkę ogląda i lepiej ją zagospodaruje. Spodziewam się, że przed nami bardzo trudne rozgrywki, ale wierzę, że i Pogoń będzie silna i Wisła Płock. ©©

Pogoń rozpoczęła sprzedaż kartetów na nowy sezon. Ma bardzo ambitny cel

Jakub Lisowski
sport@gs24.pl

PIŁKA NOŻNA. Pierwszy dzień sprzedaży kartetów był dobry dla klubu - blisko tysiąc kartetów znalazło nabywców.

W klubie mają ambitny cel. Chcieliby poprzez sprzedaż kartetów oraz tzw. subskrypcję sprzedać 10 tys.. Czy to możliwe? Tak, ale same chęci czy nagłośnienie sprzedaży fajnymi filmikami nie wystarczą. Kluczowe mogą okazać się letnie transfery. Przed rokiem

Pogoń zanotowała wzrost sprzedaży względem poprzednich sezonów. Ponad 6 tys. kibiców w ten sposób postanowiła się związać z klubem.

Tego lata wprowadzone zostały pewne zmiany: premie dla dotychczasowych kartetowiczów, tych nowych czy kategoryzację spotkań ligowych.

- Kierunek zmian jest taki, by jeszcze bardziej docenić kartetowiczów - mówi Ziemowit Deptuła, wiceprezes Pogoni.

Ceny kartetów nie ulegają większym zmianom, a najlepiej opłaca się nabycie w pierwszych tygodniach sprzedaży.



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

W sezonie 2025/26 ponad 6 tys. kibiców miało kartety na mecze domowe Pogoni

Do 6 lipca kartet normalny na tzw. prostą dla przedłużających (mają pierwszeństwo wyboru miejsca) lub zupełnie nowych nabywców będzie kosztował 1020 zł. Ulgowy 850 zł, a za dziecko do lat 13 zapłacą rodzice 510 zł. Dla porównania - po 6 lipca te wyżej wymienione stawki będą większe i odpowiednio fani zapłacą: 1275, 1105 i 765.

Kwoty są duże, ale klub znów wychodzi na przeciw kibicom i kartety oferuje także w subskrypcji (opłata w ratach).

Czy się opłaca? Przy zakupie kartetów - kibic zaoszczędzi

względem tego, jakby miał nabywać wejściówki przy okazji kolejnych spotkań (z kartetem 3-4 spotkania zobaczy „za darmo”). Co ważne? Pogoń nie chce sprzedawać kartetów na trybunę D (za bramką), bo te sektory będą wyłączone z użytku, gdy frekwencja będzie mała.

Ceny biletów ulegną drobnym modyfikacją, ale Pogoń zdecydowała się podzielić domowe spotkania. Za mecze np. z Widzewem czy Cracovią fani zapłacą 10 zł więcej za bilet, a za Legię czy Lecha - 20 zł. Więcej szczegółów - gs24.pl/sport. ©©